



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





PAMIĘTNIKI KAJETANA KOŹMIANA.

7

PAMIĘTNIKI
b 216
KAJETANA KOŹMIANA

OBEJMUJĄCE

wspomnienia od roku 1780 do roku 1815.

BIBLIOTEKA
TECH. SZK. LOTN.

Nr. 554.

—————
CZEŚĆ III.
—————

WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1907.



10072 / 1

Wspomnienia z czasów rządu austrijackiego.

Po wrzawie rewolucyjnej, po zapałach, nadziejach, obawach, po chwilowej acz zawodnej swobodzie nastąpiła pogrobowa cisza, smutek i żal. Przywlekły się one za wojskiem austrijackim i pod tym samym zestarzałym generałem. Przybył z nim komisarz cesarski Baum, młody i umiarkowany urzędnik, dla ochrzczenia tej części Polski nazwą Galicyi zachodniej. Wkrótce wezwano mieszkańców do wypełnienia przysięgi homagialnej. Wojewoda lubelski, Ilrynowiecki, z smutku uprzedził ją śmiercią. Podkomorzy lubelski, Dłuski, podał memoriał do cesarza z prośbą, aby ta część Polski, która z podziału do Austrii przypadła, przynajmniej imię Polski, język i urzędy zatrzymała, pamiętam jedną frazę z tego memoriału *Utquid nobis baptismus, cum nihil in Franciscum peccavimus*. Spodziewano się, że rząd austriacki, za którego wiadomością układało się powstanie i toczyły się narady, tak w Wiedniu, jak w Dreźnie, który z sejmu Grodzień-

skiego żadnej części kraju nie otrzymał, który z tak wielkiego powiększenia dwóch ościennych dworów nie mógł być zadowolonym, nie mając powodów do prześladowania Polaków, pod łagodne i wyrozumiałe berło ich podgarnie. Przy pierwszym jednak wstępie, te nadzieje omylone zostały. Chwytnie niezwłoczne rozbitków polskich z wojska, które się szwadronami i kompaniami, unikając zemsty Rosyan, pod opiekę austriackiego rządu cisnęło, rozbijanie ich, konfiskata broni i koni, zmuszanie groźbami, a nawet razami do przyjmowania służby w wojsku cesarskiem, pozbawienie oficerów ich stopni i przebieranie na rynku pod okiem bolejących na ten widok mieszkańców w kamasze prostych żołnierzy, wyjawily, żeśmy się stali poddanymi mniej łagodnego berła, a raczej niewolnika. Cóż dopiero mówić o postępowaniu tego nowego rządu z oddziałem Deniski, który się z Podola rosyjskiego na Bukowinę schronił, o wieszaniu rozproszeńców; cóż o uwięzieniu słusznego obywatela niejakiego Raciborskiego, przymuszonego biciem kijami do przyznania się do winy korespondowania z tymże Deniskiem. Tak surowe początkowe postępowanie czyż pochodziło od tronu, lub od wyższych władz? ktokolwiek znał osobiście cesarza Franciszka, rodzinę jego, wyższych urzędników, których do organizowania tego kraju zesłał, winić ich o tę surowość nie będzie. Lecz ten system prześladowania tak samemu rządowi szkodliwy, bo odwracał od niego serca nowych poddanych, był dziełem biurokracyi demokratycznej, chciwej, nienawistnej wszelkiej wyższości, a szczególnie szlachcie, dla tego, że sa-

ma szlachtą nie była. Ona zwodziła własny rząd, jątrzyła go przedstawianiem, fałszywemi doniesieniami niebezpieczeństwa; zasługę sobie robiła, podając środki zaradzające, a współubiegając się niejako w nienawiści i srogości, ze współnikami załady Polski, chciała się niejako pochwalić przed nimi, że zasłużyła na dar z Polski, gdy ją dręczyć umie. Przecież ten zaszczyt, którego zdawała się poszukiwać, obrócił się wkrótce na jej szkodę, gdy postępowanie rządów w Rosyi i w Prusach nagle się zmieniło. Ze śmiercią Katarzyny II skończyły się prześladowania Polaków. Paweł I pierwsze dni swego panowania oznaczył wspaniałością, uwolnieniem więźniów i łaskami dla wielu Polaków. Gdy Fryderyk Wilhelm skończył na puchlinę, a syn jego młody z młodą i piękną żoną, wstąpił na tron, ustało prześladowanie Polaków w Prusach. Gubernatorem Warszawy został mianowany generał Keller, szlachetny, ludzki, wyrozumiały, zgoła filozof i filantrop, co rzadko bywa pod rycerską szatą; król sam odwiedził Warszawę, a łaskawem przyjęciem ofiarowanych sobie przez możniejsze domy zabaw, zwłaszcza księcia Józefa Poniatowskiego, które uprzyjemniły jego pobyt, odpłacił się darem młodego serca, to jest łagodniejszym i mniej podejrzliwym rządem. Przy dobrym byciu materyalnym przez nawpływ pieniędzy i otwarcie kas pożyczkowych, zaczął się budzić ruch umysłowy, rozproszeni emigranci po obcych krajach zaczęli się gromadzić do stolicy. Dmóchowski powrócił do Warszawy, Krasicki się ocknął, gazety i pisma periodyczne pod łagodną cenzurą wychodzić zaczęły. Ten duch prze-

darł się i do prowincyi rosyjskich. Czacki wydał dzieło o litewskich prawach, a gdy Paweł II skończył życie i wstąpił na tron błogosławionej pamięci cesarz Aleksander, zajaśniał on jako gwiazda, a raczej jak słońce, przyświecające nietylko zasępionemu horyzontowi Polski, ale całej ludzkości. Zaraz po wstąpieniu na tron młodego monarchy przyjaciel jego od serca, Polak, powołany z poselstwa neapolitańskiego do jego boku i mianowany zastępcą ministra interesów zagranicznych. Sprawy nietylko Polski, lecz Rosyi, powierzone z ufnością Polakowi, skutkiem tego natychmiast lejące się z hojnej ręki i z najszlachetniejszego serca monarchy dobrodziejstwa na świątynie nauk, powołanie, zbieranie i gromadzenie się uczonych Polaków do Wilna, Krzemieńca, zachowane prawa, instytucye, obyczaje narodowe, urzędnicy krajowcy, Polacy w senacie rosyjskim, w niektórych miejscach gubernatorowie, równie jak w sądach i na wyższych i niższych urządach. Odwiedziny Wołynia dwukrotne przez W. ks. Konstantego, udzielanie się jego z całą uprzejmością możniejszym domom, w których ten książę, jak groźną twarzą przerażał, tak kiedy chciał grzecznością szczególnież kobiety ujmować umiał. Te wszystkie okoliczności zrobiły w tym czasie Wołyni pośmiertnym Edenem Polski, pod łaskawem berłem nowego Trajana, który był godnym znaleźć swojego Pliniusza. Ta więc część kraju stała się najświetniejszą i najszczęśliwszą prowincją rozdartej Polski, a nawet jakaś nadzieja ożywiać ją zaczęła. Najznakomitszych imion rodziny spieszyły z zagranicy zamieszkać ją. Wołyni i tak już bogaty w zamki

obronne i pałace, nabył nowych i wspaniałych w Tuczynie, w Międzyrzycu, w Mizoczu, w Orochowie i w wielu innych miejscach. Zabrzniały uczty, zabawy, wesolość z przepychem i ze zbytkiem, aż do gorszącego marnotrawstwa posunięty; odznaczył się w nim Aleksander Chodkiewicz, pan obszernych dóbr, pod dożywociem matki zostających, który, ożeniwszy się z młodą, piękną wojewodzianką sieradzką Karoliną Walewską, wystawił dla pięknego i wybranego przez siebie miejsca pod Dubnem, w cudzej wiosce, ogromny pałac z pizy w Pekałowie i z niego trwonil i rozrzucał chodkiewiczowskie dostatki na pożyteczne i niepożyteczne przedmioty. Założył bowiem obszerną bibliotekę, gabinety narzędzi fizycznych, mechanicznych, astronomicznych i aparatów do chemii, której nauka i praktyka była jego namiętnością. Jak każdy młody z szlachetniejszym usposobieniem zapragnął się wslawić w kraju, być autorem, poetą dramatycznym, zaczął pisać teatralne sztuki, współubiegając się o sławę z Felińskim, z Krupińskim i z Kruszyńskim, tłumaczem Brytanika i Bajazeta. Wkrótce też Czacki zajął się utworzeniem Krzemieńca, prócz akademii wileńskiej, na której czele stanął Jan Śniadecki, otworzyło się więc gimazyum krzemienieckie, prawdziwie polskie, dla młodzieży wołyńskiej, prawdziwie narodowe i z nauczycieli i z systematu i z przepisów i z ducha. Domy mniej zamożne zaczęły się wznosić, rosła wszędzie materyalna i moralna pomyślność. Podatki małe, na szlachtę żadne, obchodzenie się wojska rosyjskiego przyjazne i jedynie przez kwaterunek, lecz nie szlachcie, ale pospolitemu ludowi tylko uciążli-

we, nie trwały swobodnego użycia dóbr bogactwa szlacheckiej, wszędzie ucieszyły, zabawy. Idąc za natchnieniem panujących, dowódcy wojsk rosyjskich, po większej części strzegli się nadużyć i jeżeli gdzie się takowe trafiły, pochodziły od Niemców lub Francuzów, jakim był na przykład generał Lambert. Generał Bawr, szef regimentu huzarów, człowiek wykwintnie wychowany, wielki wielkiego księcia faworyt, ulubieniec kobiet polskich, które bałamucił, utrzymywał o Wołyniu dobrą opinią wielkiego księcia i swoim znaczeniem przykładał się do dobrej i otwartej harmonii, między mieszkańcami a wojskiem, do którego już wielu ze znakomitszej młodzieży wstępowało. Jedne komory były zawsze uprzykrzone i przekupne, lecz wolny i łatwy przyjazd i wyjazd w całej rozciągłości istniał. Nie było na przestrzeni tej ziemi ani postrzegaczów, ani szpiegów, mówiono wszystko jawnie i otwarcie, równie o rządzie jak o polityce; jakoż czegożby byli donosiciele dostrzegli, chyba uwielbienia i pochwały młodego pana; było głosem powszechnym: „pod pewnym względem lepiej nam teraz, jak za czasów polskich, mamy w znacznej części to, co nam ojczyzna dawała, a nie mamy ciężarów i niebezpieczeństwa rzezi humanicznej, chociaż bez Polski, jesteśmy w Polsce i jesteśmy Polakami“; ten odgłos wyraźniej się jeszcze odzywał, po rozwiązaniu się legionów polskich we Włoszech, gdy cesarz Aleksander nie wzbrouił tym rozproszonym wstęp do swego kraju, a szczególnie gdy generał Kniaziewicz tak wstawiony w tych legionach, znalazł gościnne przyjęcie w Sławucie u księcia Hieronima Sanguszki, gdy

się publicznie ukazywać zaczął w towarzystwach w mundurze generała francuzkiego, z krzyżem polskim i z legią honorową. Z duszy i z serca republikanin, wywiózł nienawiść do Napoleona za wyprawienie jednych legionów do San Domingo, drugich na żołąd królowej Etruryi. Wziętość i uszanowanie, jakie odbierał od dowódców rosyjskich, cześć dla jego sposobu myślenia powiększały uwielbienie i wdzięczność dla cesarza, który dozwalał Polakom czuć po polsku.

Kiedy tak był stan Wołynia, Ukrainy i Litwy coraz wyraźniej łagodziły się losy prowincyi pruskiej. Warszawa, przestawszy być stolicą Polski, zaczęła być nanowo stolicą nauk i obyczajów polskich. Za przełożeniem Krasickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, król pruski zezwolił na zawiązanie się towarzystwa przyjaciół nauk, dla strzeżenia, zachowania w czystości swojej języka polskiego. Sółtyk, eks-podstoli koronny, miłośnik nauk i literatury, Albertrandi, Stanisław Potocki, Chreptowicz, Czacki, Dmóchowski, Woroniecz, Staszic pierwsi je zawiązali i zaraz liczna lista przystępujących, czynnych i honorowych członków znakomitych, z talentów, nauki, z miłości nauk lub urodzenia objawiła ruch umysłowy. Zaczął zaraz wychodzić dziennik literacki, który nawet część polityczną w sobie mieścił. W odciętych od siebie krajach prócz Galicyi, ktokolwiek umiał piórem władać dostarczał płodów oryginalnych lub tłómaczonych. Z Wołynia Krupiński, Feliński, Kruszyński ozwali się. Z Wielkopolski a raczej z Warszawy arcybiskup Krasicki, Woroniecz, Osiński, Niemojewski wspomagali Dmó-

chowskiego dziennik. Posiedzenia publiczne przyjaciół nauk, rozprawami uczonemi o języku, o literaturze, poezją Woronicza, Osińskiego krzewiły obudzoną miłość narodowości. Bogusławski, tulający się dotąd po Lwowie, odnowił teatr dawny polski i sztuki narodowe wystawiać na nim zaczął, a wkrótce potem tragedye klasyczne francuskie, wyborne przez Osińskiego tłómaczone. Dodajmy do tego umysłowego stanu byt materyalny najszcześniejszy, mnóstwo pieniędzy; otwarte zawsze dla kredytu kasy publicznych instytutów i banki, i ztąd dostatek tak pożądany marnotrawstwu młodzieży polskiej, a łatwo wystawimy sobie pomysłność tej części Polski, która się objawiła szczególnie w stolicy przez zabawy, uczyty, wesołość i nadawały wszelki pozór szczęścia u tych, u których tam ojczyzna, gdzie dobrze. Kiedy tak dwie części Polski, Galicyą przecięte, współubiegały się z sobą w okazywaniu gdzie lepiej, Galicya jakby śmiercią ozioniona, wystawiała obraz trupa skościałego, martwego, którego obsiadło drobne a dokuczliwe robactwo, które dręczyło świerzbieniem nieznośniejszem od samego bólu. Chociaż pod zwierzchnikami słusznymi, oświeconymi i łagodnymi, (bo oddajmy sprawiedliwość tam, gdzie się należy), niższa biurokracya rozpostarła się po składach, sądach i cyrkulach, i rządzić zaczęła w sposób najdokuczliwszy; składała się ona bowiem z samych ubogich, zgłodniałych, chciwych, przekupnych cudzoziemców, i wyznajmy na nasz wstyd i ze zniemczonych Polaków; bo się do niej w pierwotnych wyborach podłością, intrygami powcisnęło wielu Targowiczaków,

nawet w grono sędziów i komisarzów cyrkularnych, lub też anty-Polaków w Galicyi wschodniej znanych rodakom z mniej chlubnego postępowania. Ta biurokracya, panująca zawikłanemi formami systematu rządowego, wówczas przyjętego, w te formy samych zwierzchników wkiłała i trętwiła ich dobre chęci, była zaś czasem szczęściem, czasem nieszczęściem tak przekupną i łakomą, że samych zwierzchników sprzedawała i że czego doprosić się trudno było, nie trudno było kupić. Używali tych środków zli na ucisk dobrych, dobrzy ze wstrętem na swoją obronę lub ocalenie. Wylęła się też nowa, temu krajowi nieznaną, a z Galicyi wschodniej przeniesioną arystokratyczną potęgą adwokatów, która za wzorem Józefa Dzierzkowskiego i Węgleńskiego we Lwowie zorganizowała między sobą dyktatoryjne bióra pieniacstwa i przekupstwa sądów, z czego w dostatki, przewagę i znaczenie rość zaczęła. Zachwiały się fortuny prywatne, otworzyły się targi na nie w biurach pysznych adwokatów, kto więcej ofiarował adwokatowi nagrody i przez niego jurgieltowanym sędziom. Zaczęły się więc gorszące sprawy dzieci przeciw rodzicom; dochodzenia synostwa u matek, wpieranie się w synostwa u bogatych ojców. Tak pieniacstwo polskie dawne zostało karlem przy ówczesnym olbrzymie austryackim. W Polsce jawność obron w sądownictwie hamowała bezwstyd i bezczelność i pieniaczów i ich obrońców; tu skrytość i sekret referatów skutecznie usługiwały wszystkim najwystępniejszym nadużyciom. Czem był Węgleński we Lwowie, tem był w Krakowie Osławski, a w Lublinie nie jeden mu podo-

bny. Byli wprawdzie na czele *forum nobilem*, od samego początku do końca tego rządu, słusznymi ludźmi i dobrzy Polacy, którzy się ani rodu swojego, ani pochodzenia, ani sposobu szlacheckiego myślenia nie wyrzekli, jak najpierwszy Pietruski zacy, jeszcze z prawdziwej Polski obywatel, jak Gołaszewski brat czyli imiennik biskupa przemyskiego. Oba oni jak się nie wyzuli z uczuć polskich, tak nawet sukni narodowej nie zmienili. Przeciął ich urzędowanie Wittford, Niemiec rodem, mniej przyjazny Polakom, lecz sprawiedliwy; nastąpił po nim Michałowski, człowiek dobrze wychowany, który w obywatelstwie powszechną wziętość pozyskał, i z honorem urzędowanie przy rozwiązaniu rządu zakończył; czuli ci zwierzchni urzędnicy źle, lecz go odmienić nie mogli. I administracja cyrkulów od początku swojego zaprowadzenia nie była bez słusznymi ludźmi na czele. Wyjąwszy pierwszego kreiskapitana Sierakowskiego, zniemczonego Polaka, i do tego stopnia napojonego przesądami i uprzedzeniami przeciw własnemu rodowi, iż mawiał: „gdybym wiedział, że mam w sobie jedną żyłą polską, tobym ją sobie wypruć kazał”, — taka nienawiść rodowa obudzała pogardę ziomek, nie jedna szacunku obcych. Po nim nastąpił Smeltz, osiwiwały starzec, i baron Mandorff z Zamościa do Lublina przeniesiony. Oba postępowaniem swoim nie tylko nie zasłużyli na złe wspomnienie, lecz zjednali sobie poważanie powszechne. Ostatni doświadczył w trudnych i niebezpiecznych dla rządu austriackiego chwilach, że Polacy mają serca wdzięczne. Atoli to umiarkowanie w postępowaniu było jedynie zasługą osób, a nie syste-

matu biurokracyi demokratycznej, która w trzech pierwszych latach swego panowania szczególnie uciążliwą się okazała, dopóki się nie wypasła i w swej zawziętości do szlachty polskiej nie spostrzegła, nie zmordowała, i dopóki się z nią nie pojednała. Właściciele też majątków zrozumieli dopiero wtenczas, czem ją ująć mogli i pogodzić z sobą, wtenczas wytłómaczyli sobie jej dawniejszą skwapliwość do mnożenia projektów, wyjednywania patentów, które niedołącznie wykonywano. Z początku jak grad leciały z biór urzędzenia, przepisy, zjeżdżały ledwie nie codziennie komisye dla wybadywania włościan, a często dla burzenia ich przeciw panom. Co rok następowały konskrypcye wojskowe, co rok zmiana w podatkach, od których usuwania się sami oficyaliści, mający je wybierać, uczyli kontrybuentów i skutecznie przedstawiali środki. Na przełożenie biskupa krakowskiego Gąwrońskiego, wydano patent, wracający dziesięcinę wytyczne, mimo praw polskich i nastąpionych układów; sami się utworzyciele tego patentu przelękli zapaloną wojną i nienawiścią, nietylko między szlachtą, lecz całą ludnością wiejską, a jej duchownymi pasterzami, i wkrótce odwołać go musiano; to samo działo się z wielu innymi tego rodzaju rozporządzeniami, które acz po polsku tłómaczone, były równie w tłómaczeniu jak w oryginale tak ciemne, tak zawikłanie pisane, że ich nietylko Polacy, lecz sami wykonawcy Niemcy zrozumieć nie mogli. Szły więc kolejną objaśnienia ciemniejsze od samych urzędzeń. Dodajmy do tego, iż żadnej gazety w kraju nie było prócz niemieckich, żadnych wiadomości

prócz podpadających pod oko, jako to: aresztowanie Ignacego Potockiego, marszałka Małachowskiego, Piramowicza i Zakrzewskiego; o czym dopiero wieść gruchnęła, gdy ich pod strażą prowadzono do Krakowa.

Tak w tych początkowych trzech latach, w których w sąsiednich państwach współubiegano się jakby zatrzeć pamięć surowości i prześladowania, i jakby ująć sobie i przejednać serca Polaków, tu przesadzone dokuczania winą niższych urzędników aż do śmieszności wzrastały. Nietylko z akt, z pism, kalendarzów, z gazet wymazywano imię Polski i wszelkie o niej wspomnienia, ale wydano urządzenie zakazujące Najświętszą Pannę mianować królową polską, i grożące karą tym, którzyby się do niej pod tem godłem modlili. Takie postępowanie jątrzyło rany mieszkańców, a cieszyło sąsiadów. Kiedy też wojska rosyjskie trzy razy przechodziły przez Galicyą, niosąc pomoc cesarzowi Franciszkowi przeciw Francyi, raz za cesarza Pawła I pod Suworowem dążąc do Włoch, dwa razy pod cesarzem Aleksandrem w drugim pochodzie na tę wojnę, którą bitwa austerlicka na czas zawiesiła, wojskowi rosyjscy mieszkańcom polskiemu i urzędnikom Polakom okazywali względy przychylności i z największą z nimi zachowywali się przyzwoitością, jak gdyby chcieli ich ująć i okazać im różnicę usposobienia jakim przejęci byli od tego, które im rządzący nimi objawiali.

Ci rządzący — ten rząd biurokratyczny miał po prowincyach tę zaletę, którąby każdemu innemu za wadę poczytano, że nie był energicznym, był on

ekliwym, drobiazgowym, nudnym, mnogimi urządzeniami naprzykrzonym, lecz był ludzkim i łagodnym; te przymioty brał on nie z własnego ducha, który tę zasadę od Józefa II wprowadzoną za prawidło przyjął. Przekonał się o tem później, bawiąc w stolicy państwa w Wiedniu i zbliżając się nie tylko do Polaków w tym rządzie znaczenie mających, lecz do najwyższych urzędników Niemców, których przystępności, otwartości i przychylności doświadczyłem; przekonałem się widokiem ludności wiedeńskiej, szczęśliwej, swobodnej, bogatej, we wszystkich swoich skłonnościach nie krępowanej, kosztem rządu ławionej, wolny i nie tamowany przystęp do tronu mającej, i uwielbiającej z zapalem panującą nad sobą rodzinę; przekonałem się, przejeżdżając przez Morawy i Szląsk, rozmawiałem z mieszkańcami różnych klas; nigdzie tam nie spostrzegłem najmniejszej nienawiści do Polaków, owszem w Morawie i w Szląsku jakieś uczucie braterstwa. Jakkóż i z przeszłości i z pobliskich nas wypadków jawnie się wydaje, że tego rządu jest nieprzelamnym systematem łagodność, powolność i ludzkość we wszystkich z poddanymi stosunkach administracyjnych, policyjnych, gospodarskich, surowość zaś nieprześlądana w stosunkach politycznych.

Chociaż ten rząd przez czas czterdziestoletniego swego władania w Galicyi zachodniej, nietylko nie dla tego kraju w celu podniesienia materyalnej jego pomyślności nie uczynił, ale rządząc się w nim nie jak właściciel, lecz jak czasowy dzierżawca, wszystkie jego zasoby i dostatki wysysał, nie mógł jednak przeszkodzić wzrostowi zamożności mieszkań-

ców, której wojny ciągle z Francją prowadzone stały się źródłem. Wprawdzie rząd ten złoto wycofał, a liche i połowę wartości traćące papiery narzucił, lichą zdawkową monetę z podłego kruszcu, lub ogromne miedziaki w obieg puścił, srebra prywatne albo zabrał, albo od nich opłaty wyciągał, kapitały podatkiem obciążył, ofycyalistów nawet prywatnych zasługom pod nazwiskiem *genus hominum*, nie przebaczył, włości z młodzieży ogołocił, przecież mimo przeszkód doznawanych gospodarstwo krajowe szczególnie rolnicze podniosło się i zakwitło w ręku właścicieli, z których prawie wszyscy wyłączeni od politycznego znaczenia, pracę, zdolność i oświecenie poświęcili rolnictwu. Obfitsze zbiory i wysoka cena zboża w kraju i za granicą, gdyż pszenicę do czterech czerwonych złotych za korzec płacono, łatwa sprzedaż, gdyż kupcy chcieli na zyski w Anglii, która prócz cen wysokich przybywającym pierwszym okrętom premium zapewniała, już na pniu zboże kupowali, masę kapitałów do kraju sprowadziły. Same papiery, bankocetlami zwane, mając kurs przymusowy, przyłożyły się do wydzwignienia dóbr z długów, a kapitalistów nieufających im i nie chcących ich zatrzymania zmuszały do kupowania ziemi, co cenę dóbr w dwójnasób podniosło. Sam też rząd austriacki bądź złym stanem ówczesnych finansów przymuszony, bądź przezorny na przyszłość jakby czuł, że się tej części kraju kiedyś rzec będzie musiał, przystąpił do sprzedaży a raczej marnotrawienia dóbr narodowych, do których wszyscy posiadacze bankocetli zachęcani przekupstwem ofycyalistów gromad-

nie się rzucili i za bezcen kupowali. A tak massy bankocetli wracały do kas publicznych w zamian ziemi. Te bankocetle jeszcze tę korzyść mieszkańcom przynosiły, że nie tylko podatki acz powiększone lecz opłacane niemi w normalnej wartości lekkiem się zdawały, gdyż w stosunku do złota lub brzęczącej monety równały się tylko podatkom za rządu polskiego pobieranym, lecz nadto temi bankocetlami opłacało się domowników, najemników, rzemieślników, kupowało się wszystkie rzeczy, do życia i wygody służące. Łatwo więc sobie wystawimy i wytłumaczemy rosnącą zamożność obywateli i postęp acz leniwy lecz przecież stopniowy gospodarstwa krajowego. Nikt albowiem w szkatułce nie zatrzymywał tych niepewnych papierów. Kto nie mógł za nie ziemi nabyć, w posiadaną wkładał; i gdy w miastach ciągle otrętwienie panowało, gdy w nich domy pustoszały, włości wznosiły się i zdobiły w murowane dwory i gospodarские budowle.

Dobry więc byt materialny mieszkańców rozchmurzył w pierwszych latach posępną postać kraju, do czego nie mało przyczyniło się możniejszych domów zamieszkanie, przez znakomitsze rodziny. Puławy, pierwszy pod wszystkimi względami dały do tego popęd i od materialnej pomyślności przeprowadziły ten kraj do moralnego usposobienia. Wspomniałem w mojem „Ziemiańswie“ o tej ich niezaprzeczonej zasłudze. Książę jenerał ziem podolskich i feldmarszałek wojsk austriackich, wojnę rosyjską, rewolucyą Kościuszki, przebył w Sieniawie w Galicyi wschodniej z całą swoją rodziną. Dru-

giego roku po zajęciu Galicji zachodniej przez wojska austriackie zjechał na zimę do Krakowa. Sama obecność jego w tem miejscu podówczas stolicy nowo przyłączonego kraju, w którym jeneralnym gubernatorem był Trautmansdorf już przez związki, już przez znaczenie jego w Austrii wywarła niejaki wpływ na łagodniejsze postępowanie władz. Sama księżna Czartoryska zaczęła budzić obumarłe uczucia współziomków. Wobec obcych władz, okazywała się Polką żalującą ojczyzny, zbierała pośmiertne po niej pamiątki po kościołach, po grobach, po trumnach królów polskich. Coby było nie uszło nikomu, jej uchodziło i nie wzbraniano bądź przez uległość znaczeniu tego domu, bądź przez szlachetność sposobu myślenia, która w ludziach wyższego wychowania nie dozwala im się zniżać do drobnych i nizezemnych dokuczań. Wkrótce książę zjechał do Puław i utworzył dom prawdziwie narodowy, polski, z całą gościnnością w całej Polsce znana. Co tylko Warszawa, województwo lubelskie i inne nawet prowincye miały w sobie ludzi wyższego wychowania, znanych z cnót, z ogłady, z oświecenia, a nadewszystko dobrych Polaków zaczęło uczęszczać do Puław. Wszystkie rozbitki Polski znajdowały tam gościnne przyjęcie, a nawet zamieszkanie. Istotną napisałem prawdę w meim „Ziemiaństwie” i w wierszach oddzielnych, że to był Epir Polski, w którym Helen po zburzeniu Troi założyła małą Troję. Puławy wystawiały prawdziwe panorama dawnej Polski. Kiedy książę wspierał język, nauki polskie, sam wszedłszy do Towarzystwa przyjaciół nauk, kiedy otworzył i zbogacał swoją bibliotekę, dopomagał z hojnością wydaniu słownika Lin-

dego, zaczął pisać historię panowania Zygmunta I, wydał własne dzieło o literaturze pod imieniem Dantyszka; kiedy Ignacy Potocki świeżo z więzienia wrócony ojczystej ziemi, w Klimontowicach oddał się literaturze, odwiedzany przez najuczestszych ludzi, prowadził spór z Czackim o dzieło jego, o litewskich i polskich prawach, i jak niegdyś Petrycy rozrywał tęskną samotność tłumaczeniem Horacyusza, księżna Izabela Czartoryska zamierzyła sobie dwa cele życia; zdobić Puławy gmachami, ogrodami, i zachęcać Polki do naśladowania tego wzoru. Oprócz tego zbierała pamiątki narodowe, porządkowała je i pośmiertną wniosła im świątynię. Zgromadziły się te pamiątki do tej świątyni z całej przestrzeni polskiej, nawet z zagranicy. Napisała też dzieło o ogrodach, którem Polki oswoiła z wdziękami natury i ze sztuką jej upiększania. Dodajmy do tego, że właśnie w tych czasach dojrzewała najpiękniejsza, najpowabniejsza i najświetniejsza z całej Polski wychowana dziewczica, Zofia księżniczka Czartoryska. Dodajmy najcelniejszą młodzież polską: Lubomirskich, Radziwiłłów, Zamojskich ubiegającą się o jej rękę. Dodajmy świetne zaręczyny i wspaniałe wesele, przy połączeniu się jej ze Stanisławem Zamojskim, młodzieńcem, łączącym w sobie wszystkie korzyści, jakie wykształcenie, piękna uroda i fortuna nadają. Dodajmy ciągle uczty, fety, bale, które płodny umysł w nadobne wynalazki zabaw, serec polskie i romansowe księżnej wynajdywać umiało, dodajmy tę uroczystość poświęcenia kościoła Sybilli, głośną po całej przestrzeni polskiej, a obchodzoną z całym urokiem czei przez patryotów i poetów,

a dziwić się nie będziem, że ta prowincya jeżeli nie tyle szczęśliwą, co jej sąsiednie, świetniejszą stała się przez domy równie zamożne jak na Wołyniu, ale czuciem narodowem wyższe. Dziwić się nie będziem, że wyobrażenia, zwyczaje, smak wykształcenie domowego życia za wzorem Puław rozlały się po całej Galicyi; dziwić się raczej należy, jak rząd austriacki niechętny natenczas temu wszystkiemu, co było polskie, znosił i dozwalał Puławom krzewić ducha narodowego. Wnosić więc wypada, że gabinet wiedeński, potrzebując pomocy cesarza Aleksandra do wojen z Francją, nie chciał dla siebie niechęci obudzić w ministrze i w ulubieńcu tegoż cesarza, synu najstarszym księstwa Czartoryskich, a nawet ująć go sobie przedsięwziął. Nie mile jednak, niżsi zwłaszcza, urzędnicy, spoglądali na Puławy, i na świątynię Sybilli i na dom gotycki. — Nie ukazywali się u księstwa. Lecz gdy cesarz Aleksander, idąc na wojnę austerlicką i bawiąc kilka niedziel w Puławach, odwiedził świątynię Sybilli, pamiątki w niej umieszczone uczcił, a podpisem swoim w księdze tych pamiątek pieczęć potwierdzającą uczucia polskie położył, odtąd i osoby z rządu ówczesnego nie stroniły od Puław, i ani świątyni Sybilli, ani pamiątek w niej umieszczonych, bez oznaki poszanowania nie miały.

W tym czasie Aleksander, ordynat Zamojski, porzuciwszy Zamość, pod pozorem zamiaru przerebobienia pałacu ordynatów, acz w Klemensowie miał do użycia gmach ogromny usunął się od widoku w zwierzynieckie lasy, i tam dworzec obszerny, z piękną i młodą żoną, Granowską z domu, zamiesz-

kał. Pan ten hojnemi darami wspierał legiony, gromadziła się koło niego patriotyczna młodzież i liczne sąsiedztwo. Często uczty, zabawy, polowania dodawały życia zamierchłej okolicy. Bliżej Puław Opole, zamieszkałe przez księcia Aleksandra Lubomirskiego kasztelana kijowskiego, pana równie możnego jak gospodarczego, w których pod okiem ojca wychowywała się przy straży znakomitej emigrantki francuskiej, młoda, w piątym roku życia przywieziona z Paryża, córka nieszczęśliwej matki, księżniczka Rozalia, piękna i już okazująca te rozumu zalety, któremi w kraju i za granicą zasłynęła. W miarę jej dojrzewania i zbliżania się do chwili zamężcia, Opole już zawczasu ścierało współubiegających się o jej rękę. Dla uprzyjemnienia chwil jedynaczce, ojciec acz słabowity i nieszczęściami znękany, zapraszał i chętnie przyjmował z wystawą polską, z porządkiem i z ogładą zagraniczną zapraszanych na święta, zapusty, i inne rodowe uroczystości, obywatelstwo, młodzież, oraz urzędników cyrkularnych, sądowych; bywali także i wojskowi na tych uroczystych wystawnych i świetnych.

Za temi domami ocknęły się i Bełżyce; gospodarstwo się wprawdzie podstarzało, starościna nieco spoważniała, sposobność majątkowa do dawnego sposobu życia nie wystarczała, lecz nałóg i chęć do zabaw przeżyły wszystko. Nie było już wprawdzie tyle uczt, nie wyprawiano kuligów, lecz święta, zapusty i zwykle rodzinne uroczystości obchodzono z jednaką gościnnością i hojnością. Oficyaliści austriaccy i oficerowie lubili uczęszczać do tego domu, prowadzić tam żony i córki, z przychylny zaw-

sze na tych zgromadzeniach liczne grono młodzieży polskiej, a szczególnie panien nadobnych.

Tak więc od owego wstępu i odosobnienia początkowego zaczęto nawykać do siebie, a przynajmniej znosić się wzajemnie. Niemcy przekonali się, że Polacy nie mogą przestać być Polakami. Polacy w miarę ich przychylniejszego postępowania nie odrażali ich od siebie. Przyszliśmy tę zasługę płci nadobnej z obu narodów. Polki nie wyradzają się, rzadki przeciwny przykład nawet w najwyższych towarzystwach; wśród powierzchowności oglądy francuskiej, wśród używania obcego języka, wśród przyjemności towarzyskiej, do której tak lgną, żywią zawsze w sobie uczucia prawdziwie narodowe, kochają ojczyznę i z rzadkimi wyjątkami przenoszą ją nad wszystkie kraje. W średnich stanach nigdy przykład wynarodowienia się spostrzedz się nie dał, a w niskich tembardziej. Mają one nawet wstąpić do połączenia się z cudzoziemcami, a jeżeli która z nich bądź z potrzeby, bądź ze skłonności wejdzie w te związki, wpływem swoim i dom przerabia na polski i dzieci wychowuje na Polaków. Z tej przyczyny w potomstwie spolszczeni cudzoziemcy często są gorliwymi, a czasem nawet zapaleńszymi Polakami, niż czyści narodowcy. Niemki łatwiej się wynaradawiają, szczególnie w Polsce; bądź wrodzona im zalotność i chęć wyrównania Polkom w powabach i wdziękach, bądź obyczaje polskie więcej oglądzone w obejściu domowym przyjemniejsze, dla płci żeńskiej więcej uprzejme, gościnne, a więc z oszczędnością niemiecką sprzeczne, ten wpływ wywierają, sądzić nie umiem, lecz to wiem, że at-

atmosfera polska tak je łatwo owłada, że w Polsce polszczyją, chętnie śluby z Polakami zawierają i natychmiast przeistaczają się w patryotki polskie, języka swego nawet mniej chętnie używają, polskiego się uczą i nim powszechnie mówią. W Lublinie, z pięciu córek starosty cyrkularnego, które wszystkie tak piękne były, jak rzadko da się widzieć, trzy poszło za Polaków i dało krajowi dobrych żołnierzy i obywateli. Ostatniego kreiskapitana Mandorfa córka znaną była w Lublinie za zagorzałą patryotkę. Gerlica synowie walczyli w szeregach polskich i zasłużyli na znaki męstwa i zasługi wojskowej. Pola konsyliarza foralnego syn, jest gorliwym Polakiem i znakomitym poetą narodowym. Władych, Dornfeld, konsyliarze foralni pozostali w kraju, ubiegali się o urzędy i otrzymali.

Nieraz ja zapytywałem się dziejów narodowych i zastanawiałem się nad badaniem, dlaczego u nas między szlachtą tak wyższą, jak niższą, jest tyle herbów obcych, tyle nazwisk, z których etymologii, mimo zakończeń polskich, cudzoziemski początek przeziara. Czasem i między pospółstwem można znaleźć obce niektórych rodzin pochodzenie. Dlaczego w naszym kraju, miasta ledwie nie wszystkie są osiadłe cudzoziemcami, którzy, acz odróżniali się strojem, językiem, religią, wszyscy obyczajami polskie przejmowali? Łatwą znajduję odpowiedź. Od początku usadowienia się na tej ziemi sarmackiego rodu, zaraz ten kraj wystawiony był na napady barbarzyńców.

Jedną więc część ludności ciągle na koniach sposobem wojowania owego czasu siedzieć i bronić

go, druga orać i siać dla wyżywienia siebie i rycerstwa musiała; nie mógł się więc kraj zamagać w kunszta rzemiosła i oświatę, bo pierwej żyć trzeba jako tako, jak wygodnie. Ztąd książęta i królowie polscy przywilejami, swobodami, ręczonem i dostrzymanem bezpieczeństwem osobistem i majątkowem, szanowaniem narodowości, zwyczajów, religii, wolności handlu przyciągali cudzoziemców; a ci, raz osiadłszy, już więcej tego kraju nie porzucali. Co do stanu rycerskiego, ten i przez zaciągi obce się powiększał, dobrowolne i jurgieltowane, bo w wiekach średnich duch rycerski namnożył ludzi zagrzałych za rzemiosłem wojskowem, za sławą, a razem od wojen krzyżackich, które były niejako europejskimi wojnami krzyżowemi, ściągnął awanturników, którzy szukali wszędzie pod pozorem sławy majątków z łupieży i zdobyczy; ci więc zbiegali się do Polski i w niej zostawali. Ale tu się nawija ważniejsze pytanie, dlaczego ci cudzoziemcy, dopiąwszy swego zamiaru bądź w sławie, bądź w majątku, owiani, że tak powiem, powietrzem tego kraju, mimo jego ubóstwa, nieprzyjaznego klimatu, nie wracali, jak to czynili z innych krajów, do swoich szczęśliwych, bogatszych, więcej ucywilizowanych rządnych siedzib, ale tu chętnie bez musu na tej ziemi nierządnej, anarchicznej i tak niemiłosiernie przez ich pisarzy, filozofów, historyków, osobliwie w bliskim pamięci naszej wieku oszkalowanej osiadali. Mimochodem nadmienię, że ci pisarze pisali o tem, czego nie znali — ganili to, czego nie doświadczyli, li miłością własną i przekupstwem od nieprzyjaciół naszych wiedzeni; Sygoniusz i Muret, dwaj najsła-

wniejsi szesnastego wieku pisarze, inne o nas mieli wyobrażenie. Co jest prawdą przyznać trzeba, Polska była po wieku jagiellońskim anarchiczna, nierządna, piła z kielicha wyuzdanej wolności odurzający trunek, aż do upojenia się, aż do stracenia rozumu w polityce; lecz, to przyznawszy pytam, dlaczego ci cudzoziemcy przynosili ją nad swoją ojczyznę i w niej się rozkochali i w niej się na Polaków przerabiali. Otóż się wyjawia, że to jest zasługą charakteru narodowego, którego żaden rząd, żadne instytucje, oświecenie nawet nie nadaje, kształcić, miarkować go tylko może, lecz go nie zmienia, natura jest jego twórczynią; to, co od natury bierzemy jest wieczne, niezmienne, mimo przelotnych i chwilowych wyobrażeń. Polacy z natury wzięli: ludzkość, łagodność, gościnność, uprzejmość, serca litościwe i miłosierne, wstręt do przelewania krwi i prześladowania, wiarę, religijność w dotrzymaniu słowa, szlachetność, skłonność do przebaczenia uraz, żadnej nienawiści do ludzi, chyba do nieprzyjaciół kraju, nakoniec miłość ojczyzny i swego rodu, aż do zupełnego zapomnienia o sobie. Takim enót zbiorem mało się narodów poszczycić może. Takimi byli nasi ojcowie, póki ich nieprzyjaciele nasi, nie mogąc pokonać, psuć i kazić nie zaczęli, póki cudzoziemskiego wychowania zaraza, pod pozorem wykształcenia przyniesiona, ich czysto narodowego życia nie zatrąła i zagłady nie sprowadziła. Ta to powyżej przytoczona przyczyna, ściągała do nas cudzoziemców. Kto tylko z nich cenił te przymioty, te zalety, cisnął się do niej i przybywszy pozostawał. Otwieram konstytucje polskie, ileż znajdują in-

dygenatów poszukiwanych i danych najznakomitszym cudzoziemskim rodzinom. Gdyby akta konfederacyi z 1812 r. wynalezione być mogły, ileżbyśmy w nich znaleźli akcesów zagranicznych, a nawet panujących książąt, którzy temiż akcesami, lub prośbami o indygenaty przychylność swoją zaświadczali. Hrabia Senft-Pilsach, minister interesów zagranicznych króla saskiego, gdy z własnego tej konfederacyi popędu, za życzliwość i przysługi Księstwu Warszawskiemu oddane, otrzymał indygenat polski nie umiał znaleźć wyrazów na chlubienie się nim i na dzięki. Musiały więc być jakieś zalety, w tym tak okrzyczanym na teraz stanie szlacheckim, kiedy panujący książęta uznawali w nim to godło, jakim go oznaczył Jan Zamoyski, podpisując się: *Joannes de Zamoscii Eques polonus, his omnibus par*. Nie będę przeczył wad naszej natury obok tyłu zalet; w szlachecie szczególnie burzliwość charakteru panującą jest skłonnością, może winą instytucyi anarchicznych. Bunt Zebrzydowskiego i Lubomirskiego i liczne związki wojskowe rzuciły tę ohydę na nas. Lecz jakiemubądź narodowi nadajemy tak anarchiczne instytucye, wśród których się nasze obyczaje kształciły, odejmmy mu wykonawców praw, policyę wewnętrzną, wojsko stałe, sądy nieustanne i wspomnijmy na Francyę i Niemcy, a dziwić się nie będziemy, że w pomiar obecnych wypadków ¹⁾ tak umiarkowanie używali przodkowie nasi swego samowolnego położenia, owszem, ze zdumie-

¹⁾ Było pisane 1848 r.

niem przypomnimy sobie, jak mało było buntów, zbrodni, występków, i jak bezpieczeństwo i tolerancja były zupełne. Teraz więcej jest wszędzie występków i zbrodni, więcej na jeden rok, niż u nas bywało przez pół wieku; i u nas teraz mnożą się z nauk i z zarazy obcej, nie z naszej natury.

Co do mojej osoby, te 14 lat upłynionych pod rządem anstryackim, przetrwałem zmienną koleją powodzenia; pierwsze dwa lata przepolowałem aż do zaniedbania umysłowego postępu. Temu sposobowi życia może winienem zahartowanie zdrowia i długi mój wiek obecny. Jednak nadużywając nieraz sił fizycznych, przeszedłem przez rozmaite przypadki; spadłem z konia na polowaniu, złamałem nogę i o mało życia nie postradałem. Leżąc w łóżku przez cztery miesiące, wróciłem się do czytania i nauki, do czego skłonność ze szkół wyniosłem. Ojciec wypuścił mi małą wioskę, w rok dodał drugą większą z obowiązkiem opłacania pensyi braciom. Sąsiedztwo, otaczające Piotrowice, stało się pod względem umysłowego wykształcenia nader dla mnie korzystnem. Jabłonę nabył Joachim Owidzki najzaczniejszy człowiek, oświecony i mający małą z dzieł francuskich bibliotekę; Niędrzwicę kościelną otrzymał w dzierzawie Tadeusz Kownacki szambelan królewski, przyjaciel i prawie wychowaniec Ignacego Potockiego i Piramowicza, kolega mój w powstaniu Kościuszki, ten lubił literaturę francuską i polską, miał nieszczupłą bibliotekę, sprowadzał świeże książki, pisma peryodyczne, jakich można było skrycie dostać. Oba ci sąsiedzi, co do wyobrażeń literackich i religijnych, idąc za popędem wieku byli wów-

czas wolterzyści. Zjawili się też i emigranci francuscy tak z armii Kondeusza, jako też i duchowni, i tych po domach rozbierano na nauczycieli języka i na guwernerów dzieci. Towarzystwo to ocuciło więc we mnie uspięone próżnowaniem i gospodarstwem chęci oświecenia się i nabycia nauki. Bywałem w tych dwóch domach częstym gościem, złączyłem się z niemi najściślejszą prawie braterską przyjaźnią; a w rozmowach, w czytaniu, w wzajemnem udzielaniu się listownemi korespondencyami wierszem i prozą, uprawiałem się w myślenie i w zasoby do nabycia myśli i do umiejętności ich wyrażania zaopatrzyłem się. Lecz pod temi względami najwięcej winienem Mikołajowi Wolskiemu, znanemu literatowi i autorowi. Wykształcony ten człowiek, od młodości swojej był przy bibliotece uczonego podkanclerzego litewskiego Chreptowicza. Kończył nauki pod Poczobutem w Wilnie, następnie został przy boku Stanisława Augusta i był jego szambelanem. Żył w ścisłych stosunkach literackich z Trembeckim i z wszystkimi uczonymi owego czasu, zasiadał w deputacyi do interesów zagranicznych, przerywając prace polityczne płodami prozą i wierszem. Był wierszopisem poprawnym i gładkim, a w myślach jędrnym. Ożenił się z domu pani krakowskiej, z wdową Krajewską ulubioną jej rezydentką, Kownacką z domu, pisarza grodzkiego nurskiego córką. Po abdykacyi króla w Grodnie, nie odstąpił go, był jego przyjacielem i powiernikiem, aż do śmierci jego nastąpiej w Petersburgu. Król powierzył mu swoje pamiętniki do ułożenia z nich historyi jego życia. Po zgonie Stanisła-

wa Augusta, zamieszkał dom pani krakowskiej w Białymstoku, a raczej wioskę Koszki, pod dożywociem żony będącą; sprowadził z Warszawy swoją znaczną, w naukowe dzieła i piękne wydania bogatą bibliotekę i właśnie zajmował się pisaniem życia króla Stanisława, gdy będąc u mojej siostry na Podlasiu, w jej domu poznałem się z nim. A że już znałem jego brata i żył z nim w przyjaźni, łatwo się z nim przez jednakowe skłonności do literatury zaprzyjaźniłem i w ściślejsze wszedłem stosunki. Była to właśnie pora, w której wojska rosyjskie pod feldmarszałkiem Suwarowem walczyły we Włoszech. On z przekonania był monarchistą i obrońcą polityki Stanisława Augusta; nie oszczędzał więc wyrzutów ani sejmowi ani powstaniu Kościuszki. On pierwszy z ocenieniem talentu i śmiałości w powiedzeniu narodowi surowych prawd, czytał mi wiersze Molskiego do Stanisława Augusta. Ja jako młody byłem przesiąknięty nowymi wyobrażeniami, byłem gorącym patriotą, a więc obrońcą i sejmowi i powstania Kościuszki. On życzył, aby koalicja wstrzymała potok rewolucyjny, ja przeciwnie uwodząc się spodziewaną pomocą od Francji dla Polski, zwłaszcza, że już legiony jej walczyły pod jej chorągwiami pragnąłem przegranej nieprzyjaciół Francji, a tryumfu sprawy, którą uważałem za wspólną. Ja patrzyłem na obroty spraw politycznych jako młody Polak, on jako człowiek doświadczony i przewierający rzeczy z punktu polityki powszechnej. Ja byłem pewny, że zbawienie Polski od zwycięstwa Francji zależy, on mniemał, że prędzej czy później Francja pokonaną zostanie. Obu nas wypadki za-

wiodły, lecz spory wiedliśmy z sobą nietylko ustami, ale i piórem prozą i wierszami, do których pisania zachęcał mnie Wolski, aby wybadać moje zdolności. Przemieszkowałem czasem u niego przez dni kilka, a on dojrawszy jak mi wiele brakowało nauki, wskazał mi źródło, z kąd mam je czerpać, otworzył przedemną skarby literatury greckiej, łacińskiej i francuskiej. Czytaliśmy wspólnie najznakomitszych autorów, których ledwie z wyjątków w szkołach dawanych znałem. Z jego porady co do poezji nauczyłem się na pamięć de Arte poetica Horacjusza; przebiegliśmy niektóre pieśni z Eneidy Wirgiliusza, porównywając go z Homerem. Czytaliśmy Owidiusza, Lukana, zgoła klasycznych i nieklasycznych autorów. Im więcej się w nich wezrytywałem, tem więcej czułem jak mało umiałem i jakie morze nauki przedemną do przebycia zostaje; to mnie unieśmieliło do pisania, zacząłem czuć nieukontentowanie z moich drobnych i małych płodów. Chwytając do ręki pisarzów wieku zygmuntońskiego i Stanisława Augusta, dostrzegłem, że ci tylko dobrze pisali, co się wpatrzyli w starożytnych i zbliżyć się do nich usiłowali. Przekonałem się, że oryginalność czasem, a osobliwość i szczególność zawsze niczem innym nie są, jak tylko niewiedomością i nieumiejętnością. Zgoła odłożyłem na bok pióro i uczyć się zacząłem. Dziękuję Bogu, że z natury wziąłem pewny rodzaj nieśmiałości i nieufności w sobie, które mnie ochroniły od wstydu i nie dozwoliły, abym wypuścił na świat pierwsze próby młodszego pióra. Dziś kiedy jakie znajdę między memi staremi szpargałami przekonywam się, że ta

nieśmiałość była dla mnie zbawienną. Ale też w młodości mojej nie był jeszcze wyszedł nowy dykeyonarz, niszczący właściwe rzeczy nazwiska. Jeszcze skromność nie była przezwana niedołężnością, zarozumiałość geniuszem, nieumiejętność oryginalnością, dziwaczna i nieznana osobliwość nowym polotem poezyi; jeszcze rozsądek zdrowy i natura były mistrzami pomysłów, smaku i form tak w prozie, jak w poezyi.

W tych chwilach mojej nauki miałem nieszczęście stracić ojca. Śmierć jego oderwała mnie od literatury, obciążyła obowiązkiem czuwania nad majątkiem i interesami mojej rodziny, brat starszy był za granicą w wojsku pruskim, młodszy w seminarjum w Warszawie, najmłodszy w szkołach; przez dwa lata nie myślałem o książkach tylko w małych przerwach. Cały oddać się musiałem gospodarstwu i interesom prawnym. Jednak chwile wolniejsze poświęcałem to tłumaczeniu klasyków łacińskich, to lekkim ulotnym wierszom, nie wypuszczając ich na świat, chyba zdradzony przez moich przyjaciół. Zdziwiłem się i zawstydzilem gdy ujrzałem w pamiętniku Dmóchowskiego moją modlitwę do Boga i tłumaczenie ody Horacyusza, oraz dwóch czy trzech elegii Tybulla; to mi wprawdzie dodało niejakej śmiałości, lecz jeszcze nie ustąpiło mego smaku, do tego lub owego rodzaju poezyi. Przerzucalem się jak błędny, to do sielanek to do ód, to do wierszy na uroczystości przyjaciół, lub znakomitszych osób, wzorem Naruszewicza lub Krasickiego, bez ich nauki i talentu. Gdy Ignacy Potocki wrócił z więzienia petersburskiego do Klimontowic, przywitałem go

odą; napisałem drugą do Aleksandra Zamoyskiego, na jego święto, obie patryotyczne. Napisałem trzecią do księżnej generalowej Czartoryskiej, na obchód poświęcenia kościoła Sybilli. Księżna z właściwą sobie uprzejmością przyjęła ją z pobłażaniem i z wdzięcznością; lecz Aleksander Linowski, który się znajdował w Puławach i także wiersze napisał, bez wątpienia lepsze niż moje, gdy mu się przedstawiałem i przypominałem z pewnym rodzajem wyższości, rzekł do mnie: „i pan zaczynasz być poetą” to mnie znowu onieśmieliło. W tem nadeszła pora wielkich klęsk dla Francyi; Napoleon powrócił z Egiptu na jej uratowanie, zaczęły się wielkie przygotowania i koalicyi i pierwszego konsula. To zjawienie się wielkiego człowieka natchnęło mi pierwszą liryczną odę i wróżbę zwycięstw francuskich; tę odę mój brat proboszcz wtenczas markuszowski, wziął odemnie i pokazał Piramowiczowi, a ten Ignacemu Potockiemu, który chociaż sam ciężkim wierszem tłómaczył de Arte poetica Horacyusza, był bez wątpienia dobrym sędzią innych poetycznych pisarzy. Ten, gdy byłem u niego w Klimontowicach, dobył tej ody, czytał ją w mojej obecności i najpochlebniej zachęcał do rodzaju lirycznego; do tegoż samego ośmielił mnie i Piramowicz. Nie obłudne a przychylnie zdanie tych mężów, obudziło we mnie żywość imaginacyi i nieco więcej utności, lecz natchnienia liryczne nie przychodzą, tylko z nadzwyczajnemi zdarzeniami. Czekając na nie, rzuciłem się do czytania liryków greckich w tłómaczeniu, łacińskich, francuskich w oryginale, niemniej i narodowych Kochanowskiego, Naruszewicza, Trem-

beckiego, Niemcewicza, dzienniki też warszawskie już umieszczały poezye Osińskiego.

W tym także czasie, myśląc o odmianie stanu, poznałem piękną, młodą i dobrze wychowaną osobę, Annę Mossakowską, słusznego obywatela z Wołynia córkę, urodzoną z Mossakowskiej, spokrewnionej z Morsztynami i z Michałowskimi, którą Stecka, chorążycowa koronna, Wilzanka z domu, a z ojca wielka przyjaciółka mego ojca z sobą do tego kraju przywiozła. Młoda ta osoba pełna zalet płci swojej, zwróciła oczy moje na siebie a wkrótce i serce; a że lubiła literaturę francuzką i narodową, więc jak serca, tak i gusta nasze się spotkały. Czytywałem z nią wtedy zajmującego płęć piękną swojemi poematami Delila; nawet zacząłem tłumaczyć pierwszą pieśń wieśniaka francuskiego, lecz dowiedziawszy się, że tym przekładem zajął się Feliński, przestałem. Do jej sztambucha dostarczałem wierszy polskich i napisałem kilka lekkich do niej i o niej wierszy; tłumaczyłem elegie Tybulla i załotne ody Horacyusza; nakoniec gdy zapewniłem się o wzajemności, a ona odjechała na Wołyń, przyrzekłem niezwłocznie udać się za nią i podałem prośbę o paszport do Petersburga, gdyż inaczej za panowania Pawła I nie wpuszczano nikogo do Rosyi. Przecież lubo uczyniłem starania przez pana Ignacego Potockiego do Seweryna Potockiego, będącego senatorem rosyjskim, paszportu nadejście opóźniało się. Przypadek zdarzył, że mój sąsiad i przyjaciel szkolny Załęski z Rybczewic za otrzymanym paszportem wyjeżdżał na Wołyń gdzie posiadał majątek, a jeden z moich znajomych także

paszport uzyskawszy zmienił projekt jechania; odstąpił mi go więc z chęcią, usłyszawszy o moim zamiarze udania się do tego kraju i namówił mnie abym pod jego imieniem jechał. Nie zważając na niebezpieczeństwo, gdyż to oszukanie można było wtenczas Syberją odpokutować, słuchając tylko tęsknoty serca przebyłem szczęśliwie komorę wraz z Załęskim. Zabawiłem tydzień w Miedzyrzeczu u państwa Steckich i w Błudowie u pana Mossakowskiego i otrzymawszy przyrzeczenie córki, zezwolenie ojca, wracałem już nie z Załęskim, który dłużej pozostał, lecz sam i na inną komorę. Gdy mój paszport okazałem pisarzowi komory, ten, czytając go, zaczął mi się ciekawie przypatrywać, jakby chciał porównywać z rysopisem tożsamość osoby, co mnie niepomału zmieszało, potem z uśmiechem rzekł do mnie „proszę pana do mojej stancyi”; gdy wszedłem zamknął drzwi i obejrzwawszy wokół czyli kogo nie było, powiedział: „Pan nie jesteś osobą w paszporcie opisaną” a gdy ja, nadrabiając miną, zacząłem mu z śmiałością wyrzucać niesłuszne osądzenie, on znowu z uśmiechem odezwał się do mnie: „daremne pańskie zapieranie się i wymówki, ja pana znam, pan jesteś Kajetan Koźmian, ja Ciebie poznaję a ty mnie nie poznajesz” — i rzucał mi się ze łzami na szyję. — „Jakże nie przypominasz sobie swego nauczyciela z Zamościa Dobraczyńskiego, nie mieszaj się, to jest sekret między nami, nie lękaj się, nie zdradzę cię i chętnie bym osobą mają okupił cię od nieszczęścia, w jakie gdzieindziej wpaść mógłbyś. Paszport ci podpiszę, ale go nie oddam aż jutro, musisz ze mną i u mnie przenocować

wać". Powierzyłem się więc z ufnością poczciwemu i przyjaznemu nauczycielowi. Nagadaliśmy się wspólnie, opowiadał mi zmiany swego stanu i losu, dowiedziałem się, że nie był pomyślny; prosiłem go, ażeby mi się zwierzył jeżeli ma jakie potrzeby, nie chciał nic przyjąć, obiecał jeżeli będzie w Lubelskiem zgłosić się do mnie, lub mnie odwiedzić. Uściskał mnie, pożegnał nazajutrz i wyprawił, od-tąd go nie widziałem, choć pragnąłem być mu użytecznym.

W poprzedzających latach, zaraz po śmierci mego ojca, podobne miałem zdarzenie. Mieszkając w Piotrowicach i będąc bezzennym, miałem u siebie w służbie kobietę w średnim wieku, która w moich rodziców domu była mamką, a potem nianką młodszych moich braci, i która u mnie trudniła się gospodarstwem wewnętrznem, miałem także kucharza po moim ojcu, młodego, dobrze wyuczonego w swojej sztuce, razem myśliwego, lecz niezmiernie lekkomyślnego i nieuważnego—ten z kuchni spostrzegłszy srokę na płocie, porwał za strzelbę, i nie jej z sieni nie wychyliwszy, wystrzelił; w chwili strzału podbiegła mu pod lufę nieszcześliwa Barbara. Nabój zerwał jej czaszkę z głowy. Nim lekarz i cyrulik nadjechał, skołała. Kucharz chciał się powiesić z rozpacz, musiano go zamknąć. Potrzeba było wypadek donieść do cyrkułu, i za jego nakazem odesłać mimowolnego zabójcę do sądu kryminalnego do Sandomierza. Siedział biedak w więzieniu, wlokła się indagacya do stawienia świadków kilka miesięcy przeszło, nakoniec mnie, jako właściciela wsi i pana zabójcy a razem świad-

ka czynu wezwano osobiście do sądu. Zjechałem więc do Sandomierza, w którym raz tylko byłem przejazdem wraz z komisją lubelską. Nie miałem nikogo znajomego; przystęp nietrudny do niemieckich sędziów, lecz porozumienie się z nimi bez znajomości języka niełatwe. Miasto opustoszałe, po gruzach tylko można było wnosić, czem kiedyś było; żadnej restauracji, żadnej oberży. Musiałem stać w karczmie murowanej za miastem i tam się żywić. Jedną tylko znajomość tęsknie mi chwile przerywała w klasztorze PP. Benedyktynek, kilku słusznych i sędziwych zakonnic, które znały ojca mego, i mnie i moją siostrę, gdyż w tym klasztorze wychowanie odebrała. Lecz te codzienne wizyty moje u kraty, pierniczki, tłuczenniki i tatarskie ziele w cukrze, nie osłodziły mi śmiertelnej nudy, i zwłoki w uwolnieniu mego więźnia; zwiedzałem więc kościoły, mury zamku, leżącego w gruzach, po wysadzeniu go w powietrze przez Szwedów; gdy trzeciego dnia mego pobytu, przechodząc przez rynek, ujrzałem przed sukienym sklepem napis: sklep Józefa Girtlera, a że w szkołach lubelskich byłem pod professorem wymowy tego samego nazwiska i imienia, wstąpiłem do sklepu, chcąc się czego dowiedzieć o moim nauczycielu; jakież było zdziwienie, gdy w osobie kupca znalazłem mojego ulubionego zwierzeznika. Przywitanie było czule i powierzenia wzajemne. Girtler ułatwił mi wszystko w sądzie, wydobyl z więzienia mego kucharza, którego jednak zostawić musiałem na święta wielkanocne prezesowi kryminalnemu, aby pieczeniem ciast na święta podziękował mu za przyspieszony

wyrok. Girtler mimo nowego swego zajęcia, zawsze miłośnik literatury szczególnej wymowy i poezyi, jak pierwszy odkrył we mnie jakie takie zdolności, wzmagał je, rozwijał i zachęcał, tak teraz jakby zgorszony mojem zaniedbaniem, rzekł do mnie: „Jak to? dotąd nie utworzyłeś, nie próżnuj, nie zaniedbuj się, czytaj więcej jak pisz, pisząc nie wypuszczaj na świat bez pokazania właściwym sędziom, miej zawsze w ręku klasyków, tam są skarby, tam wzory.” Gdy się wydałem przed nim, że te i te tłumaczenia i oryginalne twory były umieszczone w dzienniku Dmóchowskiego, przypomniał je sobie, położył krytykę i wskazał zaniedbania i dodał: „pisz, pisz, ale pisząc pracuj, maź, poprawiaj, nie ufaj pozornej łatwości, to, co się łatwym zdaje, bywa nader trudnem, nie bądź skwapliwym do puszczania na świat, póki nie poprawisz *ad unguem*, *Vox semel emissa nequit reverti.*“ Z taką radą i z wdzięcznością wróciłem do domu wiernie wypełniać to, co mi było przez mego dawnego nauczyciela zaleconem. Otrzymawszy paszport, wkrótce udałem się wraz z chorążycem Steckim i z moim młodszym bratem Janem, nader przywiązanym do mnie, na Wołyń dla przyprowadzenia do skutku moich zamiarów. Na komorze w Uściługu, doznałem mimo paszportu trudności przejazdu, brata mego puszczono, mój paszport posłano do Radziwiłłowa do głównej komory. Tydzień przeszło siedziałem z ludźmi i z końmi w karczmie żydowskiej, przymuszony uczęszczać do domu dyrektora komory Polaka, niejakiego Zakrzewskiego, niezmiernie hulaszczego, do którego zjeżdżało się wielu mająt-

nych Wołynianów, mających znaczne składy pszenicy nad brzegami Bugu, którą właśnie do splawu przysposabiano; widziałem tam między innymi goszczącego senatora Strojnowskiego z Orochowa. Dyrektor z rozmowy ze mną, dowiedziawszy się, że babka moja z matki była Zakrzewska z domu, podwoił dla mnie mordujące moją tęsknotę grzeczności, nakoniec wygotował drugą ekspedycyą do komory radziwiłłowskiej, posłałem z nią sztafetę, i przywieziony paszport uwolnił mnie z więzów. Ożeniłem się więc niezwłocznie na Wołyniu, wpośród festynów, z tej okazji wyprawionych, w Międzyrzeczu u chorążego Steckiego, w Tuczynie u wojewody Walewskiego, w Dorobuszu u Józefa Walewskiego świeżo z Czacką ożenionego, gdzie poznałem wszystkie znakomitości Wołynia, a szczególnie Aleksandra Chodkiewicza, który był niedawno zaślubił wojewodziankę Karolinę Walewską, młodą, piękną, niezmiernie żywą, a razem wielką przyjaciółkę mojej żony. Wróciwszy do domu w maju, przyspieszyłem dział z braćmi, dział dobrowolny i zgodny, bo, kochając się z sobą jak bracia kochać się powinni, nie o to się każdy ubiegał, aby lepszą schedę wybrał dla siebie, lecz żeby nią braci obdarzył. Najmłodszy bracia, Jan i Józef, natenczas proboszcz markuszewski, z własnego wyboru otrzymali schedę mniejszą nieco, lecz czystą i żywną; drugi, to jest Józef, aby wszyscy mieli równe schedy w ziemi, odstąpił dziedzictwa za bardzo mierne w stosunku do wartości jego wynagrodzenie, które ja mu w następnych latach wypłaciłem, resztę zaś należytości, zostawszy biskupem kaliskim

umorzył, i skrypta wydane przez najstarszego i najmłodszego brata zdarł. Muszę tu wspomnieć z chlubą godziwą, że w województwie lubelskiem, w którym się tyle gorszących kłótni i spraw pieniaczych toczyło między rodzonymi braćmi, nasza rodzina była wzorem zgody i miłości braterskiej i ta niezachwiana trwała aż do grobu. Siostra wszystkie ofiary dla braci gotowa zawsze czynić, współubiegała się z każdym z nas w tej miłości. Żaden z nas drugiego czoła nie zachmurzył na chwilę nawet, chyba gdy przyszło dzielić ból wspólny po przygodach i nieszczęściach, które nas dotykały. Wielkie błogosławieństwo Boga, nieśmiertelna wdzięczność rodzicom, którzy tę miłość zaszczipili w swoje potomstwo i wyjednali modłami swemi jej trwałość. Rozmnożyła się rodzina nasza aż do prawnuków, i ten łańcuch przybywające ogniwa coraz mocniejszym czynią, im się staje dłuższym. To nam jednalo po śmierci rodziców szacunek, przyjaźń, życzliwość, pomoc u sąsiadów. Oby wnuki moje szły tym torem, błagam Boga.

Zamieszkałem więc Piotrowice, schedę przezemnie wybraną, wraz z młodą, niewinną i najpoważniejszą żoną. Trzy lata wspólnego z nią życia były najszcześliwsze i już szczęśliwszych nie miałem; w Piotrowicach nie było domu, tylko folwark, a raczej stary dawny opustoszały dwór, wieś licha, po trzechletniej dzierżawie powrócona właścicielowi; zabudowania, budynki dworskie nędzne. Przez czas więc reparacyi domu, mieszkałem z żoną w starym folwarku w Bystrzycy, gdzie było wprawdzie kilka izb, lecz zabrudzonych i jeden tylko pokoił schlu-

dny, w którym ojciec zwykł był stawać w przejeździe lecz, że to było lato, a sad otaczał ten folwark, w którym była altana niebotycznymi, cienistymi lipami ocieniona, więc ta altana była naszym salonem do dziennych zatrudnień i przyjmowania gości. Bywali u nas z dalekich i blizkich stron znajomi, dostatni, możni, przyjaciele, sąsiedzi, rodzina i podzielnali naszą swobodę, pomyślność, zgoła szczęście, do którego tak mało potrzeba, przy młodości, bo tylko zdrowia, skromności żądź i niewinności sumienia. Rodzina moja pokochała się w mojej żonie, uważała ją nie jak bratową, lecz jak rodzoną siostrę uwielbiała ją, fetowała i uczęszczała do nas. W jesieni przeprowadziłem się do Piotrowic, do domu nie kosztownie, lecz schludnie, wygodnie i przystojnie odnowionego. Cała zima najszczęśliwiej i najswobodniej nam zesła. Siostra starsza żony mojej, stęskniona do ulubionej siostry, zjechała do nas i przez zimę zamieszkała. Żona moja jak rodzinę tak i sąsiadów i sąsiadki tak sobie ująć umiała, że nas często odwiedzano. W tych szczęśliwych chwilach według wspólnego z żoną smaku do literatury, zacząłem zamyślać się nad ziemiaństwem polskiem; to, co nas nablżej dotyczy, to zajmować zwykło naszą imaginacyę. Żyjąc z naturą, z rolnictwem, z rolnikami, zamierzyłem śpiewać to życie i ten kunszt, przy których byłem tak szczęśliwy. Zastanawiałem się więc nad planem, przebiegłem wszystkich autorów starożytnych i nowoczesnych, obcych i narodowych, którzy w tym rodzaju śpiewali, wszystkich znalazłem niższych od Wirgiliusza. Żaden w tak doskonałym sposobie nie był razem poetą

i nauczycielem rolnictwa. Żaden dydaktyczności kunsztu, obrazowości natury, poezji smaku i razem oszczędności nie połączył razem z tak niezrównaną sztuką. Zgoła żaden nie utworzył podobnego arcydzieła. Jego więc torem, w ziemianstwie polskim, narodowem, według różnicy klimatu, rodzaju gospodarstwa, zmiany w wierze, wyobrażeniach i obyczajach, puścić się zamierzyłem, jak on włoskiemi, ja polskimi epizodami ozdobić i uprzyjemnić polski, prawidłowy poemat przedsięwziąłem; lecz niestety! nie miałem się tego radzić w tym zawodzie. Tadeusz Kownacki, mój sąsiad i przyjaciel porzucił Niędrzwicę, wyniósł się do Galicyi do brata, za widokami majątkowemi. Piramowicz przeniósł się z Kurowa na probostwo międzyrzyckie. Lublin nigdy nie był dostatni w literatów. Z Warszawą mało miałem stosunków. Bywało wprawdzie u mnie dwóch ludzi uczonych, Seweryn Wedykowski, rektor szkół lubelskich i ksiądz Radliński zakonnik, exprowincyał bernardyński, mówiący kilku językami, który długo bawił w Rzymie i po świecie podróżował, wielce uczony, oba i mego brata Józefa i moi przyjaciele; oba lubili poezję i wiersze pisali. Wedykowski właśnie zajmował się tłómaczeniem Eneidy, lecz obydwom niedostawało smaku; radom więc i sądowi ich powierzyć się i zaufać nie mogłem. Rzuciłem jednak na papier, moje jeszcze bez pewnego planu pomysły; kilkaset wierszy pokazałem bratu mojemu, ten je wziął i goszczącemu w Markuszewie, Tadeuszowi Czackiemu przeczytał. Ale ten uczony ważniejszemi od poezyi zajęty literackimi przedmiotami, z roztargnieniem słuchał młodego czło-

wieka ramoty, kilka wierszy skrytykowawszy, nie takiego nie powiedział, z czego bym mógł korzystać. Jakoż nie był on znawcą poezji, a nawet jej nie lubił. Tak więc sam sobie zostawiony, raz popychałem dzieło, drugi raz stygłem w niem i tak tworzyła się powoli *indigesta moles*.

Tymczasem nadszedł uagle nieszczęśliwy pogłóg mojej żony, nie spostrzeżono się, że w łonie swojem nosiła bliźnięta, których ciężar młodej i delikatnej matki przyspieszył rozwiązanie. Nim nadjechał doktor i akuszerka powiła córkę; gdy przybyli, syna już nieżywego odebrali. Matka przez dni kilka, między życiem i śmiercią pasowała się, bliższa drugiej. Młodość i starania uratowały ją, we trzy miesiące przyszła zupełnie do zdrowia i szczęście moje powróciło, powiększone miłą córeczką, lecz niestety! nie na długo. W rok pojechałem na Wołyn, dla pokazania ojcu wyzdrowiałej córki; dziecię małe zostawiłem we Wronowie, pod opieką drugich matek moich. Na Wołyniu bawiłem parę miesięcy, tam w domu księcia Stanisława Jabłonowskiego w Annopolu, goszcząc dni kilka, poznałem nauczyciela synów księstwa Jacka Kruszyńskiego, z którym się natychmiast zaznajomiłem. Uczony ten miłośnik literatury, czytał w towarzystwie annopolskiem tłumaczenie swoje Brytanika Rasyna, o ile źle czytał i prawie nieznośnie, o tyle najwyborniej wytlomaczył. W tem tłumaczeniu usłyszałem najdoskonalszą wersyfikację, dźwięk i bogactwo języka; trudności, pochodzące z sprzeczności języków, pokonane, smak w użyciu wyrazów, doborze spadeków, w toczeniu zwrotów, aż do zbytecznego wyszukania

posunięty, a jednak naturalny. Związałem się z nim przyjaźnią. Wiele z nim mówiłem, wiele od niego nabyłem, chociaż to był człowiek skromny i prawie nieznający do siebie swego talentu. Nie był on twórczym poetą, nadto hamował w sobie imaginację, lub jej wcale nie miał, lecz to pewna, że był wybornym rymopisem i w sztuce pisania najzdrowsze wyznawał zasady. Gdy jednego dnia przed obiadem towarzystwo zaczęło się schodzić do wielkiego i nader pięknego salonu, za wchodzącą księżną usłyszeliśmy szum, nadzwyczajny hałas i młode wesołe śmiechy. Wpada pięć panien młodych, wesołych, pięknych i między skaczącymi spostrzegam trzydziestoletniego mężczyznę, z czubem na głowie, wymuskanego, w opiętym fraku, z twarzą pełną, uśmiechającą się, z tonem jowialno-rubasznym na którego wołają panny: „a elementa, a elementa?” „Są, są i będą” odpowiedział z uradowaną twarzą i pomacał się po zanadrzu. W tem jedna z tych młodych dziewcząt siada do fortepianu, gra walca, była to Stecka, dziś księżna Józefowa Lubomirska. Druga najpuściejsza Dutkiewiczówna, później Janowa Potocka, porywa naszego przybysza do tańca, wykręca go na wszystkie strony; on seryo z całej duszy tańczy, z całą rozkołysaną postacią i twarzą, oddychającą zalotnością, wywija się; ta go porzuca, inna go bierze do mazurka; nasz tancerz dość otyły, bije holupca, wykręca nogami, porywa go potem trzecia, aż nakoniec zmordowany i spocony rzuca się na krzesło i mówi: „elementa tak mnie zmęczyły, że czytać nie jestem w stanie, gdyż technicznie straciłem” i dobył z zanadrza papieru. „Czytaj,

czytaj—wołając obskoczyły go panny. „Czytaj—odezwała się księżna—bo się ich nie pozbędziesz”. Obtarł się więc z potu, wysunął krzesło, odkrząknął i z poważną miną zaczął: „oto są cztery „elementa“ i powlekl okiem ukontentowanem, jakby wróżbą podziwienią i poklasków. Za przejściem opisaną wierszami każdego elementu odzywał się: „Proszę zgadywać”. Jakoż w tych czterech elementach, jedną z tych czterech panien równał do ziemi, drugą do ognia, trzecią do powietrza, czwartą do wody. Szczęściem, że skromne i niewinne panny nie rozumiały osnowy tego porównania, lecz Kruszyński i ja ledwieśmy się mogli utrzymać od śmiechu z dwuznaczności wyrazów i z konceptów jowialnych, które można było wzięść za najswawolniejszą ironię, zarumienić jaką Frynę. Lecz przekonaliśmy się, że autor nieuk i niezgraba, przez nieumiejętność pisaną i krytyki, wpadł w posądzenie o to, o czem nie myślał i kładł na hazard konceptowe hieroglify, w których mężkiemu i wprawnemu oku dwuznaczność nie uszła. Jakoż z tryumfującą miną zbliżył się do Kruszyńskiego i rzekł: „te panie powinny być kontente, każdą ucharakteryzowałem wiernie, starałem się wdziękiem poezji wyrównać ich wdziękowi“.—Trudny to zawód—odpowiedział Kruszyński.—Dla mnie nie był trudny—odrzekł tancerz-poeta—to mnie nie kosztowało jak godzinę czasu, kiedy się ma serce czule dla płci pięknej, myśli i wiersze same płyną. — Potem spojrzawszy na mnie protecyonalnym tonem, wzięwszy Kruszyńskiego pod rękę i chodząc z nim pompatycznie, zapytał się o mnie, kto jestem. Po czem zbliżywszy się do mnie, rzekł

—Prezentuję się panu, jako dobrze znajomy siostrze jego, pani Bobrownickiej. Jestem Kajetan Jaksa Marcinkowski—i wywiódł mi całą swoją genealogię i pokrewieństwo ze Skirmuntami, wielkimi przyjaciółmi i sąsiadami mojej siostry, równie jak swoją znajomość i przyjaźń z Felińskim i Krópińskim, dodając „jesteśmy bracia w Apolinie“. O obydwóch mówił lekko i z krytyką, o Czackim z uwielbieniem, dodając, „zrobił mnie wizytatorem szkół, te objechałem, lecz, że mnie odrywały od poezyi i literatury w której jestem namiętnie rozmiłowany, prosiłem, aby mnie uwolnił. Teraz mam kilka domów przyjaznych, jako to: księstwa Jabłonowskich, Adama Rzewuskiego, Poryck, Woroneczyn, gdzie lubią literaturę i poezję i tam uczęszczam; wszędzie pełno płci pięknej, jej więc wdzięki jak Tybul i Horacyusz śpiewam“. Gdy odszedł, Kruszyński rzekł do mnie: „to jest najśmieszniejszy człowiek, zabawa całego Wołynia, mało umie, mało czytał, w szkołach się nie douczył, a przytem tak zarozumiały, tak uprzedzony o sobie, że nawet nie spostrzega śmiechów i szyderstw, których jest po oświeceńszych domach przedmiotem. Coś polapał i zachował w pamięci, ale tylko ze słyszenia mówi o Horacyuszu i Tybullu, bo po łacinie słowa prawie nie umie; jest do tego samochwał, powiedział ci, że go Czacki wizytatorem szkół zrobił, znasz Czackiego, mógłżeby takiemu nieukowi tak ważne dać zlecenie? Chcąc raz pozbyć się go, odezwał się do niego: „Włóczysz się po Wołyniu, policz mi szkółki niższe, gdzie je na wsiach lub miasteczkach znajdziesz i ulóż mi ich listę. On to wziął za urząd wizytatora. Jak

się nim bawią w Porycku powiem ci. Raz pani Czacka ułożyła zagadkę historyczną w obrazach, do której kilka kobiet i mężczyzn młodych należało. Marcinkowski znalazł się w towarzystwie poryckiem, gdy tę zabawę urządzano. Czacki w wesołości, w chwilach odpoczynku po pracy, rzekł do Marcinkowskiego, że chce niespodziankę żonie i towarzystwu zrobić, pokazując się w jednym obrazie i wezwał go, aby do niego należał. Czacki więc wystawia Anchizesa, a Marcinkowskiemu daje rolę Eneasza, wynoszącego ojca z płonącej Troi, lecz Czacki usiadłszy na barki, a raczej na krzyż Eneasza, tak go nagiął swoim ciężarem, że ten zgięty prawie na czworaczku wszedł do salonu; na ten widok wszyscy obecni zawołali: a to wjazd Pana Jezusa do Jeruzalem i klaskać zaczęli. Na to Marcinkowski tak się rozgniewał, że zrzucił z siebie Czackiego na ziemię i pierwszy raz dostrzegł, że z niego szydzą. Wyjechał zaraz z Porycka i przez jakiś czas nie bywał". Po obiedzie, na którym znowu Marcinkowski, ciągle konwersacją ulotną czy zalotną bawił panny, udałem się z Kruszyńskim do jego pokoju; gdyśmy przeglądali rozmaite edycje klasycznych autorów, z biblioteki księcia Stanisława i własne zbiory Kruszyńskiego, z trzaskiem otwierają się drzwi i staje przed nami Marcinkowski z całą pompatycznością swojej ukontentowanej postaci, „rozumiem—rzekł—że panom nie przeszkodzę i że w tem towarzystwie pomieścić się mogę". Kruszyński miał mi czytać wybrane swoje tłumaczenia, pierwszej pieśni Georgików Wirgiliusza, które był przedsięwziął, wstrzymać się musiał, gdyż Marcink-

kowski zaczął się macać po kieszeniach, kieszonkach, po zanadrzu i dobywać na świstkach pisanych wierszydeł śmiesznych, jowialno-rubasznych, płaskich, a prawie wszystkich rozmaitym paniom i pannom poświęconych, deklamował je z prózopopeją, z pompą i męczył nas parę godzin, dopóki nie wezwano nas na herbatę. Wypadł więc dokończywszy czytania, pobiegł śpiesznie do salonu z lepszym brzuchem, jak głową, a my, idąc za nim, przypomnieliśmy sobie wiersz Horacego in arte poetica: „*Indoctum, doctumque fugat recitator acerbus*“. Odtąd go nie ujrzałem, aż w Warszawie w r. 1819 czy 20-ym, ale już opatrzonego sławnym, a raczej osławionym poematem „Gorset“. Był to gorset hrabianki Rzewuskiej, Adama Rzewuskiego, kasztelana witebskiego córki. Nie wiem czyli go czytał hrabiance, czy ojciec oświecony, utalentowany sam pisarz i znawca, wiedział o nim i znał go. Jeżeli tak było, pewny jestem, że się z niego naśmiał, nie sądząc, aby kiedy mógł być ogłoszony drukiem. Ale *recitator acerbus*, przed odwiedzeniem Warszawy, dostawszy się w Radomskiem do pewnego domu i przechwalstwem o przyjaźni z Czackim, Felińskim, Krupińskim, Adamem Rzewuskim o wizytatorstwie szkół takie umiał wrazić o sobie uprzedzenie, że młoda pani tego domu uwierzywszy, że jest znakomitym poetą, a zatem i dzieło godnem druku, pozwoliła je sobie przypisać i koszt wydania zastąpiła, o co autorowi najwięcej chodziło. Jakoż wydał ten śmieszny poemat, wraz z innymi wierszami w Warszawie roku 1818 pod tytułem: „Zabawy wier-

szem dla płci pięknej poświęcone, własne i tłumaczenia przez K. Jaksę M.⁴...

Powracając z Wołynia do domu, żona moja przywiązana do rodzinnego gniazda i kochająca się z siostrami namówiła młodszą siostrę Felicianę, żeby jej towarzyszyła do Piotrowie, gdzie pozostała z nami blisko rok. Mój młodszy brat Jan, więcej jak brat, bo wychowaniec i przyjaciel, przywiązany do mnie, poznał ją i znalazł w niej upodobanie, raz więc rzekł do mnie: „bracie! patrząc na twoje szczęście z żoną, nie chcę być szczęśliwszym od ciebie, wróżbę podobnego szczęścia widzę w młodej siostrze twojej żony, wyrozum ją, gdyby nie miała wstępu do mojej osoby, dziś bym się jej oświadczył” i to samo powtórzył mojej żonie. Jakże się nie miał podobać osobie dobrze wychowanej, człowiek, powiem, rzadki z przymiotów serca, duszy i rozumu; był on wprawdzie małego wzrostu, lecz postaci wykształconej, twarzy nader przyjemnej; skromny, bez nieśmiałości, wesół, zabawny, bez przesady, językiem francuskim dobrze mówiący (wspominam to, bo co teraz jest powszechnem, dawniej było oznaką staranniejszego wychowania) lubił czytać i oświecać się, posiadał talenta, rysował niezłe, a tancerzem był zręcznym, powabnym i naturalnym, tak, że w Puławach do najlepszych i najgrzeczniejszych był policzonym. Uważano go tam za jednego ze skromnych wychowauców lepszego wychowania, i na każdą fetę, na każdy bal przychodziły do niego, do jego wioski zaprosiny, czasem sztafetą nadesłane. Przy tem acz młody, bo ośmiu latami odemnie młodszy, nie uległ zarazie

owego czasu, i zawsze wyznawał najpewniejsze zasady wiary. Pobożny, religijny bez fanatyzmu i pedanteryi, zjednał sobie i szacunek i przychyłność w całej okolicy. Latwo się więc podobał siostrze mojej żony, i otrzymał przyrzeczenie. Powiększyło się moje szczęście nadzieją tego związku, powiększyło się tem więcej, że żona moja powiła mi najszczęśliwiej syna, i nigdy zdrowszą nie była. Niestety! jedna chwila mniej uważna na zdrowie z jej strony, stała się źródłem długich cierpień moich, a w kilkanaście miesięcy sprowadziła zgubę mego tak zupełnego, a brata spodziewanego szczęścia, i nas obu grubą i nigdy niezapomnianą pokryła żalobą. Żona moja, lubiąca kwiaty i ogród, odwiedziwszy w Wronowie na wiosnę drugie matki nasze, śpieszyła się z powrotem do swego ogrodu, i prac w nim wiosennych. Dzień był zimny i wiatr ostry, gospodynie Wronowa puścić jej nie chciały, bo chociaż pojazd miała kryty, pod wiatr jadąc, zaziębła się, dostała kataru, kaszlu, dreszczu z gorączką. Sprowadzony doktor nasz domowy Kulpiński, nie poznał się na zapaleniu płuc, krwi nie puścił, lecz chorobę innemi lekarstwami ułagodził. Zaród jej jednak został w kaszlu, nastąpiło potem plucie krwią, i stopniami rozwinęły się suchoty. Kilkanaście miesięcy dręczyłem się między obawą i nadzieją. Sprowadzony z Puław doktor Golecz, stary, doświadczony lekarz księcia Czartoryskiego, znalazł chorobę wkorzenioną, lecz obiecywał wyzdrowienie, jeżeli pod okiem jego zamieszka chora. Wyjechałem więc do Markuszewa dla bliskości Puław, i usadowiłem się wraz z słabą żoną w domu

brata mego, który wtenczas był w Wiedniu. Z ciągłej zgryzoty wypadłem w gorączkę nerwową; kilka dni byłem między życiem i śmiercią. Moje niebezpieczeństwo tyle sił dodało przywiązanej acz osłabionej żonie, że mnie pielęgnowała, lecz to pielęgnowanie resztę ich wyczerpało. Doktor Golcz, wyjeżdżając z księstwem na zimę do Sieniawy, powierzył żonę moją doktorowi Leymanowi, mieszkającemu w Stryjny. Wróciłem więc do Piotrowic na zimę, przesiadywał u nas doktor, wszystkich środków używał, ale na próżno. Przedemną tał prawdę i cieszył mnie polepszeniem na wiosnę, lecz przed braćmi i przyjaciółmi odkrył ją i blizki koniec przepowiedział. Niestety! spełniła się przepowiednia. Uderzony jak gromem, wywieziony i strzeżony, tulalem się jak błędny z domu do domu. Widok nawet dzieci i płacz ich nie krzepił mnie w żalu, lecz mocniejszym rozdzierał serce. Zmuszony prośbą braci, za wspólnym interesem prawnym, udałem się z bratem Janem do Krakowa, bawilem tam kilka niedziel, szukano dla mnie roztargnienia w okazywaniu mi pamiątek Krakowa. Zwiedziłem wszystkie, a szczególnie akademię, w której znalazłem kilku moich profesorów, między innymi Sołtykowicza; odwiedziłem weterana i emeryta Przybylskiego, którego zastałem już zestarzałego, złamanego na zdrowiu, mieszkającego nieschludnie, lecz umysł jego jeszcze się był zbyt nie nachylił. Wtenczas kończył tłumaczenie Tassa do jego obszernej erudycyi przybyła gadatliwość starości, była to biblioteka chodząca, cała gockim drukiem drukowana, i bez żadnego smaku oprawna.

Patrząc na tyle pism jego, na ciągłą pracę, i na autora ubóstwo, smutne powziąłem uwagi nad dolą literatów w Polsce. Poznałem się w Krakowie z całą rodziną macierzystą mojej żony, z Morsztynami, z Michałowskimi, z starostwem Skotnickim, z Wielopolskimi, lecz najczęściej przebywałem w domu obożnej koronnej Krasieńskiej już wdowy, zimującej wraz z jedynakiem synem Józefem, którego wywiozła z Warszawy, w zbyt młodym wieku wydzierającego się do wojska księstwa warszawskiego, gdyż to właśnie była chwila poprzedzająca pokój tylżycki. Powróciwszy z Krakowa wybierałem się z bratem moim młodszym, Janem, na Wołyń dla spełnienia zamiarów jego, kiedy nagle uderzeni oba zostaliśmy bolesnym ciosem, jak gdyby jak serca, tak i nieszczęścia nas wiązały. Siostra mojej żony Felicjanna, narzeczona mego brata, czyli już miała zaród suchot w sobie, lub się też niemi od siostry, którą pielęgnowała, zaraziła, niknęła na zdrowiu i gasła. W drodze do niej, dowiedzieliśmy się o jej śmierci. Któryż tu którego mógł pocieszać, zostawiłem ten obowiązek siostrze mojej na Podlasiu, sam pojechałem do Błudowa płakać z rodziną i z starszą siostrą utraconej Maryanną. Powróciwszy do domu, udałem się do Wiednia nie dla roztargnienia, lecz zmuszony interesem prawnym, wspólnym mi z braćmi, który w apelacyi krakowskiej, w czasie mojej niebytności wygrałem, a którą nasz napastnik wywołał do sądu najwyższego.

Bawiłem w Wiedniu cztery miesiące, zwiedziłem okolice, instytutu, gabinety, galerye, kościoły, teatru; a chociaż to było już po pierwszych nawie-

dzinach Napoleona, znalazłem Wiedeń zabawnym, wesołym, szczęśliwym, i żadnego w nim ani fizycznego, ani moralnego śladu wojny. Teatra a szczególnie włoski był wyborny; chociaż Maryę Ceci Napoleon odmówił do Paryża, jeszcze pozostała siostra Imperatrice, i Campi, Polka, Miklasiewiczza kapelmajstra orkiestry lubelskiej córka; ze śpiewaków Bridgi i Verry. Zastalem wielu Polaków tak w Wiedniu, jak w Badenie; przypatrzyłem się tam osobliwym kąpielom wspólnym tak mężczyznom jak kobietom. Szczególny to widok osób starych i młodych spacerujących w ubiorach rannych w wodzie po szyję, z wystrojonemi głowami lub pokrytymi peruką, czasem za pośliznięciem się tonących z krzykiem. Mówiono mi, że gdy był u tych kąpielu Kalinowski wielki pustak i żartobniś puszczał się nurkiem we wodę, chwycił za nogi kąpiących się i zabawę sprawiał publiczności spływającemi po wodzie perukami; i że nadto wyprawiał takie figle, iż mu zabroniono uczęszczać do kąpeli. Poznałem się w Wiedniu ze wszystkimi tam zamieszkałymi Polakami, z Maxymiljanem Ossolińskim, z Lancokorońskim, zastałem znajomą mi panią Sewerynową Potocką; księcia wojewodę wołyńskiego Sanguszkę, który chociaż już w wieku, jak młodzik biegał za ładnemi Wiedeńkami i zawracał oczy nie bez kosztu do śpiewaczki Ceci. Pani Sewerynowa Potocka zawsze dobra i grzeczna i chętna do przyjaznych przysług nader mi pomocną była w mojej sprawie; przez nią otworzyły mi się drzwi do wszystkich konsyljarzów i prezesów najwyższego sądu. Przystępni i sprawiedliwi pozwolili mi tłumaczyć sobie

sprawę, jakoż wygrałem ją zupełnie, lecz przed samym wyrokiem miałem nieprzyjemne wydarzenie. Stałem na Krautgasse, ulicy wąskiej; naprzeciw mnie mieszkał konsyljarz sądu najwyższego, u którego bywałem; okna moje na drugim piętrze wpadały w jego okna, tak, że mieszkańcy obu kamienic przez otwarte okna rozmawiać z sobą mogli. Byłem na teatrze ulubionym od pospolstwa, Kasperle zwanym, po skończonym teatrze, zszedłem się na schodach ze znajomym mi dobrze, i powszechnie szanowanym konsyljarzem Stojowskim, ten mnie zaprosił do swego pojazdu i odwiózł do mego mieszkania; gdy wjechawszy na ulicę, zastaliśmy taki tłum ludzi, że nie mogąc się pojazdem precyzyjnie wysiąść musieliśmy. Jakież moje było zadziwienie, gdy usłyszałem mówiących do siebie Niemców, „że Polacy strzelili z okien“. Przeraziłem się, gdyż tylko w tej kamienicy, w której ja stałem, mieszkało kilku Polaków; jakoż, wszedłszy do niej, zastałem już policję i poczułem zapach prochu; a w stancyi mojej znalazłem komisarza policji, i pod strażą policjantów mego młodego lokaja. Komisarz z przyzwyczajeniem rzekł do mnie: „pański służący wystrzelił z okna, przeraził nie tylko ulicę i plac poblizki, lecz nawet w zamku cesarskim uczynił alarm—nie chce się przyznać, muszę więc broni szukać. Że z tego okna strzelono, jest widoczną rzeczą, gdyż nie tylko dym ztąd widziano, lecz śrut i lotki wybiły naprzeciw kilkanaście szyb w oknach, zrąbały panu konsyljarzowi obicia, szczęściem, że nikt nie był w pokoju, i ranionym nie został. Pan więc nie weźmiesz mi za złe, że muszę cały dom przetrząść

dla znalezienia strzelby“. Jakoż przystąpił do rewizyi, i wydobył z pod łóżka pistolety, z których jeden wystrzelony, miał jeszcze świeży kopeć na panewce. Już więc odkrył się *corpus delicti*, lokaj się mój przecież zapierał, próżne były wszystkie przekonania i namowy: „przyznaj się, a nic ci nie będzie.“ gdy tych słów domawiałem wszedł Adam Siemoński mój znajomy, i obok mnie mieszkający, i dodał: „tak, nic ci nie będzie, tylko ci dadzą z 50 kijów.“ Ten niewczesny żart wprowadził lokaja w zacięte zaprzeczenie. Komisarz więc go musiał wziąć z sobą, lecz na słowa moje, że go nazajutrz dostawię, zostawił mi go dla posługi. Odesłany nazajutrz do policyi, siedział kilka dni w areszcie, i przyznać się nie chciał, dopiero przyznał się przebranemu za lokaja policyantowi, gdy ten niby jako aresztant wsadzony między więźniów, poufnem zwierzeniem się, że się podobnego dopuścił czynu i tylko na trzy dni aresztu skazany został, wyciągnął go na wyznanie. Chodziło więc tylko o to, kto zapłaci wybite szyby i popsute obicie konsyliarzo-
wi; koszt podany został na 100 złotych reńskich; gdy złożyłem pieniądze w ręce komisarza, uwolniono mi lokaja bez kary. Jednak niespokojny, czyli ten przypadek nie ściągnie na mnie podejrzania u policyi, zwłaszcza że Kanty Bobrowski, który u mnie często bywał, zatrzymany był na wolnej drodze, dla wytłómaczenia się z gwałtowności, której się we własnym domu na osobie komisarza cyrkularnego dopuścił, poszedłem do dyrektora policyi z prośbą, aby z tego przypadku nie policzał mnie między niespokojnych gości Wiednia. On poszedł

do swej kancelaryi, przejrzał księgę, i rzekł wróciwszy: „pan jesteś zapisanym u nas; bo przywiozłeś z sobą pozyskaną reputacyę spokojnego obywatela, nie doznasz więc żadnej przykrości, i możesz bawić w Wiedniu póki chcesz, lecz przyznać musisz, że między rodakami jego znajdują się tacy, na których baczne oko zwracać musimy.”

Powróciłem więc w jesieni do domu. Niestety! nie wiedziałem jaki mnie los czekał. Córeczka moja, pięcioletnia Anielka, piękne i ukochane przeze mnie dziecko, na widok mój takim się czuciem poruszyła, że płacząc z radości nie dała się od mej szyi oderwać. Czyli już miała w sobie zarób choroby, lub też nagłe i gwałtowne poruszenie wprowadziło ją w nią, tej samej nocy dostała gorączki, rozwinął się koklusz mocny, i mimo starań kilku doktorów z Puław i z Lublina, na moim ręku piątego tygodnia skołała. Ten cios okropny dobił mnie, zostałem jak martwy i nieżywy, nie mnie pocieszyć nie mogło, w rozpaczę znienawidziłem życie; musiano mnie pilnować, abym w obłąkaniu, którego blizki byłem, nie odebrał sobie życia; rok cały prawie przeżyłem w takich moralnego bólu męczarniach, tułałem się jak błędny, zaniedbałem interesa, gospodarstwo, literaturę. Z mego przykładu mogę twierdzić, że kto mocno żal czuje, ten go w wiersze nie układa, mówi o swoim bólu, ale w poezyi go nie głosi.

Parvae curae loquuntur, ingentes stupent.

Te wszystkie treny żałobne, nie wyłączając nawet najtkliwszych ojca naszej poezyi Kochanow-

skiego, acz są płodem szczerego żalu, już są płodem uspokojonego z pierwszego bólu serca, i już ockniętej imaginacyi.

Po roku moich cierpień ojciec mojej zmarłej żony, i siostra Maryanna zasmuceni stratą córki i siostry Felicyanny, napisali do mnie życzenie, abym dla ich pociechy przywiózł im wnuka i siostrzeńca. Właśnie więc w chwili wojny, której skutkiem było utworzenie Księstwa Warszawskiego, wybrałem się z moim czteroletnim jedynakiem na Wołyń. Ciotka jego Maryanna tak się przywiązała do niego, tak mu zastępowała matkę, iż prócz przywiązania i szacunku, które miałem dla jej osoby, dla zalet jej serca i wychowania, za radą przyjaciół i życzeniem ojca jej, umyśliłem memu sierocie dać w niej matkę. Miała ona wprawdzie młodszych odemnie starających się o jej rękę, lecz przez zaćmienie serca i niezrównane przywiązanie do siostrzeńca, zezwoliła na dożywotni ze mną związek. Wróciłem więc w Lubelskie w celu starania się o dyspensę, a syna zostawiłem pod opieką narzeczonej matki, zastałem już Księstwo Warszawskie urządzone, i w Galicyi nadzieje przyszłości.

Wołyń w latach 1808 i 1809.

Powróciwszy na Wołyń, rok blisko zamieszkałem w oczekiwaniach na dyspensę, która z okazji gotującej się nowej wojny, chociaż już otrzymana w Rzymie, spóźniała się. W czasie mieszkania mego na Wołyniu, najczęściej uczęszczałem do sąsiedniego ojcu mojej żony Międzyrzycy, który był własnością chorążego koronnego Steckiego, jednego z najbogatszych panów na Wołyniu. Opiszę dom jego i osobę dla osobliwości, gdyż podobnego jemu egoisty trudno znaleźć.

Jan Stecki, chorąży W. koronny i kawaler orderu ś-go Stanisława i orła białego, winien był te krajowe zaszczyty swojej szkatule nie zasługom, gdyż prócz należenia do konfederacyi Barskiej, nie widziano go na żadnej posłudze krajowej. Chciał być wprawdzie marszałkiem trybunalskim, nawet ku temu celowi wystawił wspaniały pałac w bliskości Lublina w Bychawie, lecz funkcyi deputata czyli się nie dokupił, czyli okoliczności ówczesne prze-

szkodziły. Był on synem jedynym Steckiego, kasztelana kijowskiego i starosty Owruckiego, i po ojcu znaczny majątek tak w Kijowskiem, jak na Wołyniu otrzymał. Ożenił się z Małachowską kancelerzanką koronną, i przez nią się z wielu znakomitemi rodami spokrewnił. W młodości lubiąc namiętnie polowanie, i zaniedbując gospodarstwa, zadłużył majątek; lecz szczęściem trafił na dobrego rządę i pełnomocnika niejakiego Jasińskiego, który, zostawiwszy panu trąbkę i psiarnię do zabawy, tak się szczerze i pocziwie zajął jego interesami, iż go nietylko z długów wyprowadził, lecz obszerne lasy w Kijowskiem obróciwszy na potażę, corocznie za otrzymane z Gdańska pieniądze, dobrą tanią ceną od utratnych paniczów kupował, tak, że Stecki ujrzał się wkrótce kilku znakomitych kluczów panem. Doszedłszy do dostatku, rządym a nawet skąpym wśród samej wystawy został. Dwie jednak nieuleczone namiętności nigdy go nie odstępowały: polowanie i skłonność do płci pięknej. Gdy mu pierwsza żona, dostawszy obłąkania zmysłów, umarła, ciągle polował, żenił się, rozwodził, płacił krocie rozwódkom i pieniądze zbierał; z Małachowską miał trzech synów, z których najstarszy już dorosłym kawalerem na apopleksyę umarł, najmłodszy Karol, ożeniony z Morsztynówną, w młodym wieku także życie skończył. Średni mu tylko pozostał Józef, który, przepędziwszy młodzieńcze lata w wojsku austryjackiem, ożenił się potem z Wilzanką wojewodzianką czernichowską, dobry i zacny człowiek, lecz coś w sobie z matki i ojca zaczerpnął. Ojciec, po śmierci pierwszej żony już będąc nie młodym,

zakochał się i ożenił z bardzo młodą i piękną osobą Walewską wojewodzianką sieradzką, bez żadnej ze strony jej skłonności i zapisał jej kilka kroć sto tysięcy. Surowy i zazdrosny mąż osadził ją w zamku swoim w Szpanowie; gdzie młoda mężatka nudząc się z czezym co do zalet umysłowych mężem, różne mu figle płała. Nakoniec zrażona nieustannym widokiem surowości jego, która często w okrucieństwo przechodziła, odjechała go dla księcia Stanisława Jabłonowskiego kasztelanica krakowskiego, a podówczas sześc gwardyi koronnej i rozwód z nim rozpoczęła; Stecki bowiem był co do wyobrażeń z rodzaju Polaków co Czapski. W jego zamku, strzeżonym przez milicyę nadworną, były kazamaty i więzienia, w których więźnie z biednych włościan, za najmniejsze przekroczenia osadzeni, brzękali kajdanami; byli tacy, na których samowładny pan bezkarnie wydawał wyroki na powieszenie, sądząc się panem życia i śmierci. Zuchwałość on do tego stopnia w początkach panowania Stanisława Augusta posuwał, iż w starostwie Owruckim szlachtę czynszową w poddanych pańszczyźnianych obrócił i tocząc z nimi sprawy po trybunałach i sejmach, dopiero przez konstytucyę zmuszony został, do powrócenia im ich praw. Nakoniec ukrócono i nadużycia jego, milicyę musiał rozpuścić i już go poznałem nie owym dumnym tyranem, lecz spokojnym i obywatelskim magnatem. Po rozwodzie z Walewską, z którą miał córkę, ożenił się po raz trzeci z Popielówną, która mu za pierwsze dwie żony sowiec odplaciła, udręczyła dziada, obdarła, porzuciła. Otdąd był już wdowcem. Zawsze zachowując

dla Walewskiej, potem księżny Jabłonowskiej jakąś miłą pożycia z nią pamięć przykładał się chętnie do wychowania córki, którą nad miarę kochał i jedna tylko księżna taki na niego wywierała wpływ, iż mimo oszczędności bliskiej skąpstwa zawsze jej szkatułę swoją otwierał. Opowiem w nim przykład niesłychanego egoizmu i oziębłości serca ojcowskiego. Syn jego młodszy Karol, którego zdawał się bardzo kochać, zapadł na niebezpieczną słabość we Lwowie. Ojciec posyłał częste sztafety po wiadomości. Właśnie w dzień, w którym w ratuszu międzyrzeckim zamierzył dla sąsiedztwa wyprawić redutę i przygotowania do tej zabawy poczynił, nadbiegła do ojca mojej żony, jako blizkiego sąsiada, wiadomość o śmierci syna z prośbą, aby do niej powoli i z uwagą na sędziwy wiek ojca przygotował. Pan Mossakowski więc z kilku sąsiadami udał się do niego w chwili, w której wybierał się na redutę; po krótkiej rozmowie, przygotowującej do nieszczęścia w przytomności doktora, nakoniec odkryli okropną prawdę. Wprawdzie westchnął głęboko, lecz gdy doktor radził, aby nie wychodził z pokoju i użył uspakajającego lekarstwa, on rzekł do ojca mojej żony: „Cóż robić kochany szambelanie, jedźmy pokonsolować się na reducie.” Pojechał i całą noc był przytomny zabawie, jakby żadnego ciosu nie doznał. Byłaż to oziębłość serca, egoizm, lub dziwaczny jakiś stoicyzm w ojcu? Zostawuję to zgadnienie badaczom serca ludzkiego, mnie się zdaje, że to był szczyt samolubstwa, które nikogo prócz siebie nie kocha. Mięszał się do niego jakiś dziwaczny system regularności, czyli małości, drobiazgowo-

ści w porządku, aby nigdy nie odmieniać tego, co sobie raz ułożył. Ta miłość regularności, nietylko na śmieszność go narażała, lecz nieraz na niewygodę, które, acz egoista, znosił, aby jej nie przestąpić. I tak wszystko u niego miało nieprzestępne godziny i minuty. Zaczynano najregularniej palić w piecach 1 listopada, a przestawano 1 kwietnia. Niechże listopad zjawił się ciepły a kwiecień mroźny, już goście musieli się pocić w listopadzie, a drzeć od zimna w kwietniu. Po pierwszym bowiem tegoż miesiąca, drzazgi drzewa nie można było wyprosić na komin, sam sobie jej odmawiał, aby wyrachowania wydatku nie przestąpić. Po każdym obiedzie czy byli goście lub nie, liczna kapela musiała w ubocznej sali grać dwie godziny symfonie, które on, siedzący w krześle i lulkę palący, słuchał drzymając. Gdy nadeszła jesień i czas polowania, czy słońca, czy pogoda, czy mróz, pan z licznym myśliwem i z psiarnią wyjeżdżał na łowy, i pewny wymierzony czas bawił w lasach, przejeżdżając się z całą tą wyprawą i z zaproszonymi sąsiadami po wyznaczonych kwaterach. Polowanie to było nadzwyczaj porządne i regularne; szły liczne ogarów sfory, drązgi brytanów i kądli; kilkunastu szczwaczów ze smyczami dorodnych chartów, strzelcy myśliwi częścią pieszo, częścią na koniach; dwadzieścia cztery wozów okutych, malowanych, numerowanych, na podobieństwo furgonów wojskowych wiozły parkany czyli sieci, na wozach sterczały pęki malowanych i okutych lasek do zawieszania sieci, podobnych do pik kozackich; przy każdym wozie szła pewna liczba wieśniaków z maczugami i pałkami. Podłowczy przewodniczył temu

orszakowi, łowczy go zamykał. Gdy obrzucono ostęp sieciami i już wszystko było w gotowości, łowczy dawał znać panu i raportował o ilości zwierza, wilków lub sarn, łosiów lub niedźwiedzi otoczonych sieciami. Już stały konie powodowe dla pana i gości, i wszyscy ruszali na stanowiska, gdy rozstawiono i gości i strzelców, pan pociągnął w trąbkę, za nim w wielką trąbę wydał hasło łowczy, i w mgnieniu oka wrzawa, hałas, szczekanie psów, krzyk ludzi, strzały napępniały cały ostęp. Wszystko uciekało, wszystko ginęło, najdrobniejsza ptaszyna uchodziła w powietrze z życiem. Gdy w parę godzin wrzawa ustała, łowczy przybiegał z raportem o łupach i znoszono przed pana zwierzynę, gdy liczba ubitej mniejsza była od liczby doniesionej, póty szukano i śledzono, póki nieszczęśliwej ofiary nie znaleziono, gdyż w przeciwnym razie łowczy i pod łowczy niemiłosiernie od pana zgromieni bywali i już mu się na oczy pokazać nie śmieli. Byłem na jednym takim polowaniu i stałem obok pana, zabito 6 wilków a siódmy skrył się, jednego nie dostrzegł syn i za to surowo złajany został, chociaż wilka w sieci ubito; owego zaś siódmego póty szukano prawie przez połowę dnia, póki go do nóg pańskich nie przyniesiono. Tak kolejno przenosiło się polowanie z ostępu do ostępu, z kwatery do kwatery. Wieczorem dopiero obiad, lulki, herbata, rozprawianie o wypadkach myśliwskich i gra w marysza lub ćwika. Gdy nadszedł termin zakreślony polowaniu, cały orszak tym porządkiem, jakim był, wyruszył, z brykami, napępnionymi zwierzyną, wracał z tryumfem do Międzyrzycza. Przed kuchnią stało

zawsze wybudowane wielkierusztowanie, na którem dla widoku przejeżdżających wisiały niedźwiedzie, wilki, losie, dziki, sarny, lisy, zające. Goście przyjeżdżający przypatrywali się łupom, lecz nieraz straszone tym widokiem konie, narażały ich na rozmaite przypadki. Pan chorąży albowiem był niezmiernie uparty w swoim systemacie, i tej szubienicy zwierzynnej przenieść w inne miejsce nie dozwolił. Miał on swoje szczególne i dziwaczne gusta i uprzedzenia. Wymurował w Międzyrzycu obszerny i piękny pałac z pawilonami, oficynami i otwartymi kurytarzami, które odcinały taras pałacowy i ogród, a łączyły pałac z oficynami; w środku ozdobił i umeblował przyzwoicie. To, co architekt Medlini, własnym swoim smakiem i porządkiem wystawił, było piękne i proporcjonalne, lecz co dał JW. chorąży swoją głową, było dziwaczne i śmieszne. Międzyrzycycki pałac z tyłu ma piękny widok na miasto, kościół, klasztor i szkoły księży Pijarów, na łąki obszerne i młyny. Grobla go tylko od tych widoków odcina, lecz z frontu niema żadnego powabnego obrazu, ciągną się tylko pola płaskie, zasiewane zbożami, nieco zasłonięte domami murowanymi dla oficyalistów, jeden tylko między temi domami wykrada się widok na wioskę nie wielką, biedną, jakie często napotyka się na Wołyniu.

Wznosił się tam wzgórek, w którym wymurowano wielka piwnicę, mieszczącą wina pana chorążego. Nic łatwiejszego nie było, jak wioskę z kilkunastu chat złożoną przebudować w ładne i schludne domy, nad piwnicą wznieść ozdobną altanę lub kijosk, i nowym widokiem uprzyjemnić pałac, lecz

JW. Stecki zamierzył tę wieś zasłonić i swoim dziwnym i upornym gustem na przeciw bramy pałacowej wznosił ogiomy z malowaną czerwono kopułą holenderski wiatrak, którego rozłożyste skrzydła kręczone wiatrem, nietylko nieznośny bałas, szum i kołatanie sprawiały, lecz obrotem swoim tak straszły konie przy pojazdach, że ich woźnice wstrzymać nie mogli i zawadzać musieli o bramę, gdy rozbrykane nie dawały się skrócić do wjazdu, i, mijając go, uchodziły prosto w ulicę. Tak chcąc miewać gości, wystawił dwa straszydła na ich szwank lub odrazę, wiatrak i szubienicę ze zwierzyną. Razu jednego, gdy mnie obwodził koło swego pałacu i pokazywał ogród, kanały i swoje dalsze projekta ku upiększeniu mieszkania swego rozwijał, uderzyły mnie na obydwóch rogach pałacu dwa ogromne, prawie pięciolokciowej wysokości kopce z czarnych płytów kamiennych ułożone. Myślałem, że to były zbywające od wymurowania pałacu jeszcze nie wywiezione kamienie, gdy JW. chorąży rzekł do mnie: „oto dwie góry, to jest Etna, a to Wezuwiusz”. Kilka lat stały, ale przynajmniej bez wybuchów i Etna i Wezuwiusz, dopiero gdy się kamienie lasować zaczęły, na przelożenia wielu osób, nie bez nieukontentowania uprzątnać je dozwolił. Z tego opisanja można wzięść miarę o dziwacznym guście, i jeszcze dziwaczniejszym uporze bogacza. Życie jego było niezmiernie jednostajne; dostatnie, regularne, wystawne, jednak przez tę wystawę skąpstwo i egoizm przezierały. Do stołu siadało zawsze kilkanaście osób, zwłaszcza gdy synowie z żonami przy nim przesiadywali. Te dla towarzystwa swego, biorąc

z sobą młode i lepiej wychowane panienki z sąsiedztwa, ich młodością i wesołością uprzyjemniały posępny sposób życia starca satrapy. Obiad musiał być zawsze o pewnej godzinie, gniewał się i zachmurzał gdy się nie schodzono. Siadał na pierwszym miejscu, lepszego wina butelkę stawiano przed nim, gorsze i cieńsze dla reszty stołowników. Gości poważniejszych sadzał obok siebie, gdy kto siadł dalej, posyłał mu kieliszek lepszego wina, czem większą robił przykrość, jak przyjemność. Gdy kto z pofalszych odezwał się: proszę i ja o to wino, żaraz ramionami ruszał, i brwi białe nastrzępiał. Czasem mu umyślnie robiono tę przeciwność. Podczas stołu kuchmistrz wchodził z przyrządzoną dla pana jaką nowalią, lub wykwintną potrawą, i stawiał przed nim. Sam najprzód siebie nią sycił, resztę gościom wybranym rozsyłał. To samo się działo z rzadszymi owocami. Gniewał się na syna, że zwykle do niego po obiedzie schodzili się goście na lepsze wino i rozmowy, bo o ile on był egoistą i skąpy o tyle syn był ludzki, gościnnie, uprzejmy, dobrego serca, zdolny do ofiar i posług przyjacielskich, dla tego mimo jego czasem nierozważnej rufaszości i roztrzepania był lubiany. Wieczór, gdy się towarzystwo zeszło, zwykle zasiadał do maryasza lub ówika, gdy mu się nieszcześciło—zasepiał się, gdy przegrał kilkadziesiąt złotych—gniewał się, wygraną cieszył się, i z przegrywających żartował. Rzecz szczególna ten kaprys i sprzeczność w dostatnim człowieku, który dla próżności lub ambicyi, krocie bez zmarszczenia czoła sypał, krocie na sprawy pieniacze i rozwodowe wydawał. Stajnię miał pie-

kną, stado liczne i konie dzielne. Angielskie i tureckie ogiery sprowadzał, trzymał koniuszych i berejterów Niemców. Lecz tylko w niedziele na dziedzińcu te ogiery wyprowadzano i przejeżdżano. Niekiedy kazał zaprzęgać piękne cugi do pojazdów i wywoził gości na podwieczorki do bliskich folwarków, gdzie miał domy przystojne. Ubierał się bardzo starannie. Ledwie nie na każdy dzień w miesiącu miał inną parę sukien numerowaną, aby nie chybiła kolei; nosił pierścienie i spinki brylantowe, pasy bogate, a szczególnie z drogich szalów złożone. Z dwóch synowych szczególnie okazywał przychylność młodszej Morsztynównie z domu. Starszego syna żony nie lubił, gdyż pierwsza była delikatną dla niego, i zносиła jego kaprysy, druga mu nie przebaczała, i gdy naganiał lub krytykował jej męża albo syna, ostremi odpowiedziami obrażała go. O zdrowie swoje niezmiernie dbał, trzymał doktora Francuza i drogo płacił, ten go zachował przy życiu do późnej starości. Za życia wydał córkę za księcia Józefa Lubomirskiego. Wnuczka po młodszym synie poszła za księcia Michała Radziwiłła. Na córki weselu byłem przytomny. Po wyprawę jeździła księżna Jabłonowska matka da Paryża, na co pieniędzy nie żałował i wysypał 300,000 złotych, prócz kilkunastu tysięcy dukatów na brylanty. Wesele było wspaniałe. Ślub się odprawił w sali za pozwoleniem biskupa. Wiele było na nim znakomitości wołyńskich, uczyły trwały kilka dni. Pan chorąży, umierając, zostawił przeszło 20 milionów majątku i równo go między dzieci podzielił. Opisałem nieco za długo tego szczególnego

w swoim rodzaju, człowieka, który z głową czezą, z sercem, jak głąz ziennem, egoizmem i rżadem przyszedł do majątku i znaczenia, którego się pieniędzmi dokupił. Tak to ludzie zdają się znać i czuć, co na cześć i uszanowanie zasługuje, a wiecznie kłaniają się złotemu cielecowi, chociażby miał przy dłuższe uszy.

W innym weale sposobie był na Wołyniu dom w Tucynie, o trzy mile od Międzyrzyca odległym. Dom Walewskiego wojewody sieradzkiego, na który z pewną zazdrością i krytyką spojierał pan chorąży. Walewski, Krakowianin wprzód konfederat barski, następnie podkomorzy krakowski, a nakoniec wojewoda sieradzki przeszedł do partyi królewskiej i trzymał się dworu. Przemyślny w zabiegach majątkowych, gdyż nie urodził się bogatym, przyszedł do obszernego majątku przez sprawy sukcesyjne, które odgrzebał i jako jeden z sukcesorów po Kosińskich zaspokojony został przez Lubomirskich kluczem tucyńskim. W sejmie konstytucyjnym był patryotą, po ustanowieniu konstytucyi trzeciego maja i przystąpieniu króla do konfederacyi targowickiej wszedł do konfederacyi i był członkiem rady generalnej. Gdy Szczęsny Potocki, przejrzawszy na co się zanosi, dla kraju złożył urząd, a Seweryn Rzewuski, ocknąwszy się za późno, przez uniwersały jakby chciał szydzić z narodu, a raczej dla wydania świadectwa swoim czystym zamiarom tak okrutnie oszukanym, powoływał do pospolitego ruszenia; wiele zależało widokom dworu rosyjskiego na zastępcy Potockiego, któryby powolny rozkazom imperatorowej konfederacyę targowicką rozwiązał.

Takiego zastępcę znaleziono w Walewskim wojewodzie sieradzkim, który tego wszystkiego dokonał, czego po nim żądano. Po rozwiązaniu więc konfederacyi zamieszkał Tuczyn i zaczął murować obszerny nawet za wspaniały na stan majątku pałac, który stał się jednym z najpiękniejszych i najozdobniejszych, co do architektury zewnętrznej i wewnętrznej gmachów na Wołyniu. Wzniósł wraz z nim obszerne na około budynki w najpiękniejszym miejscu, nad samym brzegiem Horynia, otoczył ogrodami, korzystał z widoków, zgoła urządził dla siebie, dla licznej swojej rodziny i dla gości najprzyjemniejsze i najwygodniejsze umieszczenie. Zaraz potem zaczął w niem życie głośnie, wystawne, dostatnie, przeplatane ciąglemi ucztami, fetami i różnego rodzaju zabawami; ztąd jak się dziwiono, jakim sposobem jeden klucz na tak kosztowne życie wystarczał, tak go posądzano, że znaczenie jego w konfederacyi targowickiej znaczne mu sumy przyniosło. Przecież on zawsze udawał lub szczerze okazywał ducha dobrego Polaka. Podczas powstania Kościuszki wszyscy jego synowie rzucili się do oręża, sam jednak w domu pozostał. Życie w Tucynie było w zupełnem przeciwieństwie z sposobem życia w Międzyrzycu. Walewski dawny konfederat miał wszystkie przymioty dawnych Polaków, które mu przyjaciół jednały. Otwarty, gościnnie, ludzki, uprzejmy, odważny choć nawet w późnym wieku gotowy do szabli, przytem hojny, grzecznością właściwą dawnym koniuszom przywabiający, może był nietyle szacowanym jak lubionym. Dom jego był ciągle i licznie uczęszczany tak przez rodaków jak przez Rosyan.

Gubernatorowie, generałowie rosyjscy, wszystkie znakomitości arystokratyczne i obywatelskie w kraju, młodzież najcelniejsza płci obojej nietylko wółyńska, lecz z odleglejszych okolic, nawet z Warszawy, przewijała się ciągle po tym domu, do którego prócz uprzejmości gospodarza, przywabiały trzy jego córki dorosłe, dwie szczególnie piękne i trzech młodzieńców synów, przyzwoicie wychowanych. Gospodarz był wdowcem, gospodynię najczęściej zastępowała córka, już powtórnie zamężna, księżna Stanisławowa Jabłonowska, która równie piękna, jak umysłowo wykształcona, dzieliła swój pobyt między Annopol pięknym pałacem ozdobiony a Tuczyn i dom ojcowski, który grzecznością, dowcipem i gronem nadobnych panien, które ją otaczały, uprzyjemniała. Młodsza jej siostra, Karolina, piękna, dowcipna, poszła za Aleksandra Chodkiewicza, znanego w Polsce z nauk, z biegłości w chemii, z pism różnych, z patriotyzmu i z marnotrawstwa. Średnia nieładna, lecz pełna rozumu, imaginacji, przyjemności i zalet będących ozdobą płci żeńskiej, dostała męża młodego, pięknego jak postać Apollina z Belwederu przyjemnego, ugrzecznionego, miłego, zacnego w Adamie Bierzyńskim, który w wojsku Księstwa Warszawskiego z honorem służył. Kiedy poufali przyjaciele zastanawiali uwagę wojewody nad sposobem życia, którym się rujnował, i przyganiali mu wystawienie tak wspaniałego i obszernego pałacu, który po jego śmierci żaden z synów rozdrobnionym majątkiem nie będzie w stanie utrzymać, odpowiadał: „czysty mój majątek nie ubogaciłby moich trzech córek i trzech synów. Ten pa-

łać i ten rodzaj mego życia sprawił, że jedna moja córka poszła za Chodkiewicza, druga za Bierzyńskiego, że syn jeden ożenił się z Czacką urodzoną z Sanguszkównęj, drugi z Potocką urodzoną z Jabłonowskiej, trzeci pojął Małachowską bogatą i piękną wdowę, a pan Adam, brygadier, połączył się z Lubomirską. Więcej dałem majątku moim dzieciom, niż wzięłem od rodziców, i niż Stecki swoim skąpstwem nazbierał." Do domu wojewody najwięcej uczęszczał generał rosyjski Bauwr szef, regimentu huzarów, jeden z najgrzeczniejszych i najprzyjemniejszych ludzi, przyjaciel szczery Polaków, a namiętny wielbiciel Polek, których serca umiał ujmować. Po wkroczeniu wojsk rosyjskich w czasie konfederacyi targowickiej, najcelniejsze z piękności i wychowania kobiety ubiegały się o niego. Podczas mojej bytności, stojąc z swoim pułkiem na Wołyniu, we wszystkich możniejszych domach był pożądanym i lubionym. Najchętniej uczęszczał do Tuczyna, przywabiany przez młodzież polską, z którą żył w poufałości, i przez kobiety, które urokiem swoich ciągłych grzeczności czarował a czasem zwodził. Był on średniego wzrostu, twarzy niepięknej, lecz miłej i ujmującej; będąc faworytem wielkiego księcia Konstantego, i mając poufały wpływ na jego umysł, w ciągłej z nim zostawał korespondencyi, opisywał mu przychylnie i powabnie Wołyń i polskie domy, zaostrzył więc ciekawość tego księcia, który, zjeżdżając po razy kilka do tej prowincyi, dla rewii wojsk, zwiedził domy możniejsze, szczególnie Równo księstwa Józefostwa Lubomirskich i Tuczyn, gdzie sobie upodobał bawić się. Udzie-

łał się wszystkim zabawom, tańcom, z poszanowaniem dla wojewody, z grzecznością i uprzejmością dla wszystkich, i ujmował jak to umiał, kiedy chciał. Między młodemi dziewczycami szczególnie mu się popobała księżniczka Helena Lubomirska. Generał Bauwr ożenił się później z Polką, z piękną młodą rozwódką Grocholską z domu Bierzyńską, która już na śmiertelnem łożu leżała, gdy z nią wziął ślub.

Za powtórnią moją, w parę lat, bytnością w Tuczynie, już inną zastałem jego postać. Wojewoda Walewski umarł, synowie podzielili się majątkiem. Józef ożeniony z Czacką, mieszkał w Tuczynie, lecz tak wystawnego życia prowadzić nie mógł. Księżna Stanisławsowa Jabłonowska porzuciła męża i Annapol, obrała sobie za mieszkanie ładny domek za ogrodem tuczyńskim, z pięknym widokiem. ozdobiła go wewnątrz, powiększyła zewnątrz pawilonikiem małym, murowanym, piętrowym, i zamieszkała go z gronem swoich panien, które ją otaczały. Generał Bauwr jako przyjaciel mieszkał w mieście Tuczynie, i należał do jej codziennego towarzystwa. Uczęszczała do niej rodzina i przyjaciele. Rozmowa, książki, gazety, gra w wista, były jej ulubioną zabawą. Rzecz niełatwa do pojęcia, że ta księżna z takim rozumem, z taką znajomością przyzwoitości, miła, dobra, grzeczna w pożyciu, surowa w swoich zasadach, i przestrzegająca je w młodszych od siebie, już mając dorosłą córkę, którą wybornie na najlepszą żonę i matkę wychowała, już prawie w środku swego wieku, uległa wpływowi tego uwodziciela. Często przebywając w Tuczynie, podczas mego drugiego żenienia się, a szczególnie w towarzystwie

księżnej, zaznajomiłem się i zaprzyjaźniłem z generałem Bauwrem, i doznałem od niego w mojem ówczesnem położeniu wiele przyjacielskich przysług. On mi ułatwił przez swoje związki na komorach przejazdu z Wołynia do Galicyi, gdyż na komorze w Uściługu był dyrektorem jeden z oficerów jego, Francuz rodem. Paszport więc mój u niego zostawiałem a odbierałem za powrotem. Była to chwila już po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, na nowo rozpoczynającej się wojny między Austryą i Francją; sławna kampania ratyzbońsko-wagramska, do której Rosya po umowie erfurtskiej, jako sprzymierzona z cesarzem Napoleonem wchodziła, i wojsko jej pod generałem Gorczakowem gromadziło się pod Brześciem. Często miałem spory z generałem Bauwrem o przewidywane skutki tej wojny. Ja ubóstwiałem Napoleona, jako twórcę pierwszego w księstwie warszawskiego zarodu Polski. On przeciwnie sprzyjał koalicji, wróżył jej i życzył tryumfów, przepowiadał jej, i nadzieje moje zwracał do cesarza Aleksandra. Gdy mu zrobiłem uwagę, że nawet cesarz Aleksander wierzy w gwiazdę Napoleona, kiedy mu pomaga do zawojowania Hiszpanii, i do zwalczenia Austrii; odpowiadał: „tak chwilowe okoliczności zrzędziły, wojska nasze zajmą Galicyę i może z niej nie wyjdą, pewniejsze to, że będziemy z tym, kto będzie zwycięzcą. W tej chwili arcy-książę Ferdynand austryjacki wchodzi do Księstwa Warszawskiego, arcy-książę Karol dobrze się przygotował, i zapewne plany jego zniweczą Napoleona zamiary, na spełnienie czego Prusy w gotowości połączenia się oczekują,” i założył się ze mną

o cztery butelek wina szampańskiego. We cztery czy sześć niedziel, gdy Napoleon opanował Wiedeń książę Ferdynand się cofnął, Rosyanie weszli do Galicyi, i stanął pokój wiedeński, spotkałem go w Lublinie, jadącego do Paryża, do którego już była księżna Jabłonowska wyjechała; spełnił zakład, pożegnaliśmy się czule, i więcej go już nie widziałem, gdyż wkrótce potem umarł.

Inna była postać i różna od tych dwóch wyżej opisanych domów inny i różny sposób życia w Korcu u księcia Józefa Czartoryskiego stolnika W. księstwa litewskiego. Książę ten równie z enót swoich, z charakteru, z rządności, prawości, oświecenia patryotyzmu znany i szanowany był w Polsce, jak i z zasług w kraju położonych. Posel nadzwyczajny podczas sejmku konstytucyjnego do dworu berlińskiego, brat rodzony Konstancyi ordynatowej Zamojskiej, szwagier Jędrzeja Zamojskiego exkanclerza, krwią i nazwiskiem połączony z księciem Adamem Czartoryskim, godzien był należyć do najznakomitszych tej rodziny mężów, bo nie wiedzieć, czy od niej więcej wziął, czy jej przydał zaszczytów. Wychowany za granicą i z obyczajów i z powierzchownej postaci więcej do Francuza podobny, niż do Polaka, wyobrażeniami różniący się od swoich współziomków; pod francuską postawą i suknią żywił w piersiach gorącą miłość swej ziemi i rodu; pragnął swój kraj wznieść do równi z innymi europejskimi ucywilizowanemi, i poświęcił się tym szlachetnym i prawdziwie patryotycznym zamiarom. Wywiózł z zagranicy to wszystko, co znaczne, szlachetne, pożyteczne, nie tam nie zostawił z na-

rodowych przymiotów, ale je w całej czystości wraz z wykształceniem, oświatą i uprzejmością do własnego kraju odwiózł. Odbijał on też od innych i sposobem życia, i obejściem się z drugimi w towarzystwie, i gustami. Nie raz też ludzie płytkiego umysłu krytykowali go jako dziwaka i cudzoziemca, chyba dlatego, że ich wad, a szczególnie marnotrawstwa i lekkości w sobie nie miał. U nas znajduje się nie mała liczba takich, co chętniej nazwą rządność, oszczędność—skąpstwem, niż rozrzutność—marnotrawstwem. U nas, aby mieć popularność, potrzeba koniecznie czemś, bądź dobrem, bądź złem, pożytecznym lub szkodliwym błyszczeć. Umiarkowane, spokojne i ciche poświęcenie się dobru ludzkości mniej się podobają, jak wystawa, głośność i szum; i prędzej próżność błyszczącą bierzemy za chwałę, jak skromność. Będąc na Wołyniu zażądałem odwiedzić księcia stolnika, którego znałem i z Zamościa, i widywałem w Lublinie u mego ojca, którego był stałym i szczerym przyjacielem, korespondował z nim ciągle, i nieraz obdarzał go, pierwszymi swoich fabryk wyrobami. Prosiłem więc ojca mojej żony, niezmiernie poważającego i ceniącego tego księcia, aby mnie zawiózł do niego, i przypomniał jego dawnym z ojcem moim związkom. Pojechaliśmy więc do Korca, nie zastaliśmy księcia w zanku, był na przechadzce, poszliśmy do miasta, aby zwiedzić fabryki porcelany, fajansu, sukna, płótna, mebli. Miasteczko nie wielkie, lecz schludne, domy tak żydowskie jak chrześcijańskie murowane i czysto utrzymywane. Oprowadzał nas plenipotent i domowy przyjaciel księcia, dawniej adwokat przy

trybunale lubelskim, i mnie dobrze znajomy, Podlewski. W tem spostrzegliśmy przechodzącego przez miasto księcia, wracał pieszo z przechadzki. Chudy, wysoki, w szarej sukni letniej francuskiej i w bluzie, w pończochach i trzewikach czyli sabotach, w kapeluszu na głowie słomianym, z laską w rękę, szedł żywym i czerstwym krokiem. Udaliśmy się za nim do zamku. Zamek a raczej zameczek na dwa piętra, niewielki, dziedziniec szczupły, powierzchniowość starożytna, w położeniu nader przyjemnem. Rzeka bystra i głęboka, lecz nie szeroka, Kurczyk, oblewa to gniazdo niegdyś książąt Koreckich. Przyjął nas książę w apartamencie dolnym, nie wystawnym, nie obszernym, lecz przystojnym, przyzwoicie w sprzęty własnej fabryki koreckiej umeblowanym. Gdym się mu przedstawił, przywitał mnie uprzejmie i z tą przyjaźnią, jaką zawsze dla ojca mego wyznawał, wypytywał się o przyczyny jego śmierci. Zatrzymał nas na obiad, który był dobry, lecz co do ilości potraw skromny. Przed księciem stawiano półmiski, i sam rozdawał gościom potrawy, pytał się każdego jakie wino pije, sam pił francuskie. Przy stole i po stole najwięcej rozmawiał o gospodarstwie krajowem, o rolnictwie, o fabrykach, o potrzebie dźwignienia wiejskiego ludu z ciemnoty, z nędzy i upodlenia, o szkołach. O polityce mówił mało, o zagranicznych wiadomościach czasem wspominał, gdyż wszystkie gazety trzymał i czytał, równie jak nowe książki, które rozłożone leżały na jego stole; a że to były chwile, w których Księstwo Warszawskie istniało, mnie jako bliższego przez Galicyę sąsiada tego Księstwa, wypytywał się o jego insty-

tucyje, urządzenie tak cywilne jak wojskowe. Mówił czasem po francusku, czasem po polsku. Z wielką czcią wspominał króla saskiego, i pod gospodarnym panem wróżył pomyślną przyszłość temu szczupłemu odłamkowi Polski. Gdy padła potoczna rozmowa o Wołyniu, o sąsiadach, o Steckim, o Walewskim, i o innych domach zamożnych, rzekł, jak sobie przypominam: „Mości Panie” (to było jego przyśłowiem) lepiejby tych marnie rozrzucanych pieniędzy użyć na jakie korzystne dla kraju zakłady, lub je schować w tych czasach na ofiary dla niego—gdy do nich może szczęśliwym zbiegiem okoliczności Polacy wezwanymi zostaną. Pytał się o generała Kniaziewicza, którego niezmiernie szanował, az którym ja często widywałem się w Międzyrzycu i w Szpanowie. Trzymał nas aż do wieczora, w którym zawsze zwykł był wychodzić na zwykłą przechadzkę. Żegnając się, rzekł do mnie, „może się zobaczymy w Warszawie, proszę się o mnie pytać i odwiedzić mnie, ja tam na zimę zamysłam się udać.” Jakoż wyjechał do Warszawy, tam nie wiem czy rok cały zamieszkawszy, umarł na rękę przyjaciela swego, generała Kniaziewicza, z odwagą i z rezygnacją. Zrobił testament, i córki równo znakomitym majątkiem podzielił, pod nieprzestępnym i błogosławieństwem ojcowskiem zaleconym warunkiem, aby za Polaków za mąż poszły. Wszystkie święcie dopełniły zalecenia ojcowskiego.

Żył on już wtenczas w rozłączeniu z żoną, z domu księżniczka Jabłonowska, księcia Stanisława rodzoną siostrą, którą sławną z piękności za młodu, później już zamężną ospa zesześciła, lecz nie odję-

ła jej wdzięków ani daru podobania się. Rozdzieliwszy się z mężem mieszkała z córkami, zdaje mi się w Dreznie, dobrze opatrzona przez księcia i przystojnie utrzymywana; książę miał zawsze o niej troskliwą pamięć, w testamencie zapisał jej pewną sumę w nader delikatnych wyrazach, zalecając, aby ją oddała osobie, którą najwięcej kocha. Książę Czartoryski był to mąż oświecony, cnotliwy, prawy, niezachwiany w zasadach,—skrupulatnej moralności, ludzki, zgola taki, jakich Polska potrzebowała a jakich, niestety, zbyt mało miała. Dla ludu wiejskiego był tak łagodnym, wyrozumiałym i dobroczynnym, iż kiedy cały Wołyń i Ukrainę przed każdą wiosną zapelniały po drogach błotnistych skrzypiące maże i telegi ciągnione, aż z głębi kraju schudzonemi wołami i prowadzone przez wynędzniałych, w lyczane chodaki ozutych i nędznemi okrytych łachmanami włościan, i kiedy przeprowadzały produkta o sto mil przeszło, bo aż do portu kazmierskiego dla zubożenia możnych i zbytkujących panów i szlachty, jeden książę stolnik Czartoryski włościan swoich od tej uciążliwej powinności uwolnił; a nadto magazyny dla nich pozakładał, zboże ich własne zakupywał, a swoje taniej kilku złotemi na wewnętrzną konsumpcję swoim fabrykantom sprzedawać kazał. W dobrach też jego koreckich zamożność wiosek i ludu odbijała od nędzy włości postronnych właścicieli. Książę ten miał rodzzonego brata księcia Kazimierza i podzielił się z nim ojcowskim majątkiem, gdy ten dostał obłąkania zmysłów. Prawy ten, szlachetny i kochający brat nietknął się jego schedy, lecz z prawa wyznaczony jego opie-

kunem wybrał wiernego administratora, otoczył nie-
szczęśliwego brata wszelką starannością, wygodą,
opieką, utrzymywał dwór jego jak przy zdrowym,
doktorów przy nim trzymał, towarzystwa dla jego
rozrywki wyszukiwał, rachunki z dochodów i wy-
datków tak ściśle spisywał jakby się wyzdrowienia
brata spodziewał i aby mógł z najmniejszego przed
nim usprawiedliwić się grosza. Gina tak rzadkie
czyny w niepamięci ludzkiej. Bazgrzemy brednie,
intrygi, śmieszności, dziwaactwa bawimy i gorszy-
my niemi powszechność, a podobno takie cnoty god-
niejszymi być powinny powieści narodowych i rze-
telniej byłyby narodowemi.

Wiele domów i możniejszych i miernych po-
znałem na Wołyniu, nie we wszystkich być mo-
głem. W domach znakomitszych wszędzie spostrze-
gałem dobre chęci, pragnienie powrotu ojezyny pod
jakąkolwiek formą, gotowość do ofiar, nawet to uspo-
sobienie w Międzyrzycu znalazłem; najwyraźniejsze
zaś w młodzieży, zwłaszcza w Tuczynie, w Mizoczcu,
w Antoninie, w Sławucie, w Porycku. Nietyle na-
potkałem do Księstwa Warszawskiego sympatyi
w jednowioskowej szlachcie, szczególnie w kontu-
szowej. Konstytucya tego Księstwa zapewniająca
równość w obliczu prawa, a przedewszystko znie-
sienie niewoli, niepodobała się samolubnym przesąd-
nym właścicielom nawykłym orać ludem wiejskim
i przejęło ich obawą utracenia tych przywilejów,
które im pod rządem rosyjskim zostawiono. Prze-
nosili więc swój stan obecny nad wszystkie powro-
tu ojezyny nadzieje, gdy ta ojezyna już taką być
nie mogła, jaką pamiętali dawną.

Muszę tu wspomnieć, iż zdarzyło mi się przejeżdżać przez Łabuń, miasteczko niegdyś Stępkowskiego, wojewody kijowskiego, wslawione wspaniałym pałacem przez niego wystawionym. Lecz ten pałac już był zgorzał, zastałem tylko rozwaliny ogromne obszernych krużganków, przysionków i komnat, miasteczko stało się dziedzictwem córki wojewody, podskarbinsy koronnej Załuskiej, która tak przeważnie podczas sejmu grodzieńskiego i przed rewolucją Kościuszki władała sercem generała Igielstroma i wtedy przy nim w Rydze, czyli w Petersburgu, mieszkała. Wie Polska, że ów Stępkowski nim został wojewodą kijowskim, był regimentarzem jeneralnym z nieograniczoną władzą, wysłanym przez sejm i króla na Ukrainę dla uspokojenia i przytłumienia buntu pospólstwa i rzezi humańskiej, wraz z wojskiem rosyjskiem. Generał rosyjski, zdradą zwabiwszy do siebie hersztów, Gontę i Żeleźniaka schwytał ich i w kajdany okutych oddał Stępkowskiemu. Okrucieństwa, jakich się dopuścił nietylko na hersztach lecz na włościach i włościach, których bez litości dziesiątkował tkwiły jeszcze w pamięci pospólstwa i szlachty. Powtarzano jeszcze, że jeżdżąc od wsi do wsi z komendą, wybierał ofiary mniej więcej podług swego kaprysu i zemsty bez żadnego śledztwa; że kazał wielkie doły kopać, w które dziesiątkowane głowy, toporami na pniaku ścinane spadały. Znałem go osobiście, gdyż wojewoda lubelski Hryniewiecki miał jego rodzoną siostrę za sobą. Widziałem go w Lublinie już w cywilnym mundurze województwa kijowskiego, w białym żupanie, w niebieskim kontuszu z czarnemi wyłogami

przy orderach. Był wzrostu wysokiego, chudy, barczysty, twarzy okrągłej z czupryną podgoloną, z wąsami małemi po szwedzku wystrzyżonemi. Twarz jego nie okazywała tej srogości, jaką się wstawił. Opowiadali mi ci, co z nim żyli i w czasach świetności jego uczęszczali do Łabunia, iż razu jednego, gdy był regimentarzem, rozkazał stanąć na dziedzińcu swego zamku regimentowi, którego rewizyę czy też mustrę chciał odbyć; i usiadłszy na ganku z lulką w ustach przypatrywał się otoczony swoim sztabem. Gdy mu lulka zgasła, zawołał na jednego z adjutantów: „Panie Poruczniku, ognia”--porucznik wybiegł skwapliwie i zakomenderował ognia; wystrzelił cały bataljon, zerwał się regimentarz okryty dymem i z gniewem rzekł do adjutanta: „Ja chciałem ognia do lulki”. „A ja do innego ognia nie służę” odpowiedział szlachetny porucznik. Nazwisko jego wyszło mi z pamięci.

Prawie cały rok 1808 przepędziłem na Wołyniu, oczekując dyspensy z Rzymu. Tymczasem rozpoczęła się w roku 1806 wojna między Francją i Austryą. Arcyksiążę Ferdynand naszedł Księstwo Warszawskie. Interesa serca i losu mego dziecka kazały mi pozostać jeszcze w cierpliwem oczekiwaniu; interesa domowe i krajowe powoływały mnie do kraju. Miałem wprowadzić wiadomość o zyskanej dyspensie, o wyprawieniu jej z kancelaryi papieżkiej, przecież gdy nie nadchodziła, a doniesienia w kraju zaczęły jakąś nadzieję zmiany obiecywać, umyśliłem wyjechać na parę niedziel do Galicyi i dla poparcia dyspensy, i dla naocznego zapewnienia się o wypadkach spodziewanych. Zyskaw-

szy od jenerała Bauwra bilet do dyrektora komory, przejechałem ją, zostawiwszy paszport u tegoż dyrektora z zaręczeniem powrotu za dni czternaście. Austryacka komora za ofiarą kilkunastu reńskich przepuściła mnie. Po niezwyklej grzeczności oficyalistów, domyśliłem się niepomyślnych wieści dla Austrii; jakoż była to chwila wygranej bitwy pod Ratyzboną przez Napoleona. Ledwie stanąłem w domu zbiegli się do mnie z rozmaitemi wiadomościami sąsiedzi, szczególnież Joahim Owidzki, dobry i gorący patriota, uwiadomił mnie o bitwie rasyńskiej, o której wiedział od samych urzędników austryackich, o kapitulacyi Warszawy i zachęcał, abym się z nim udał do Lublina. W jakim stanie zastałem Lublin, mieszkańców i będących na urzędach Niemców, niżej to w obszerności opisuję; to tylko dodam, że ledwie wróciłem do domu, jedne za drugimi nadechodziły wiadomości o wzięciu okopów Góry, o zjawieniu się wojsk polskich na prawym brzegu Wisły. Po upływie kilku dni, wezwany i mianowany zostałem wice-prezesem, pod naczelnictwem Joachima Owidzkiego, do komisji lubelskiej. Wymówić się nie mogłem, musiałem wszystkie osobiste interesa poświęcić i zamiast zabawić dni czternaście, urzędowałem przeszło dwa miesiące w Lublinie, czekając nadejścia dyspensy i chwili, w której bym mógł na krótki czas oddalić się dla wzięcia ślubu z siostrą mojej przeszłej żony i wzięwszy go, znowu powrócić do urzędowania. Lecz pragnąłem wyjechać z dyspensą, a ta nie nadechodziła. Udałem się więc do biskupa lubelskiego Skarszewskiego po radę i pomoc, przez którego ze

wspólnem brata mego wpływem, wyrabiałem dyspensę.

Jakoż biskup zawsze dla mnie przychylny, a tem przychylniejszy w chwili, w której pragnął sobie ujmować umysły, aby zapomniano jego przeszłość, wchodząc w moje położenie, oświadczył mi chętną pomoc i wstawienie się do biskupa łuckiego Cieciszewskiego, aby ten na mocy nie mylnych wiadomości, które z kancelaryi rzymskiej otrzymał dozwolił ślubu. „Napiszę—rzekł—do księdza biskupa łuckiego, spodziewam się, że zawierzy mojemu doniesieniu; jest to mój dobry przyjaciel, święty i bogobojny kapłan, a przeto nie taję, że nader skrupulatny; lecz w razie takich przeszkód jakie przyniosła wojna może będzie wyrozumiałym, próbować więc nie zaszkodzi” i dał mi list do Cieciszewskiego biskupa. Wyjechałem więc na Wołyń. Na komorze doznałem wielkich trudności z tym samym dyrektorem, który jak mnie łatwo przepuścił, że w miejscu czternastu dni przyrzeczonych dwa miesiące zabawiłem, wpuścić mnie nie chciał. Próżne były wszystkie prośby, wymówki, modły, uparł się i odmawiał. Nocowałem więc na polskiej komorze, u podległego mi pisarza. Nazajutrz już, mając ze smutkiem wracać do Lublina, poszedłem jeszcze do niego pożegnać się z prośbą, aby mi pozwolił wysłać sztafetę do generała Bauwra i do domu ojca mojej żony i zawiązawszy piętnaście dukatów w papier, włożyłem mu go w rękę. Zerwał się na to z łóżka i rzekł: „tego nie przyjmuję; ale żebyś pan miał lepszą o mnie opinię, że nie dla tych powodów utrudniam mu przejazd, więc go przepuszczę;

ale oto niech pan patrzy, jakie mam rozkazy. Proszę więc tylko minąć Włodzimierz i jechać małemi drózkami, które mi wskazał aż do Łucka, żeby nie być przez rewizorów spotkanym“. Podziękowawszy mu, tak zrobiłem. Byłem potem w sposobności wywdzięczenia się mu w lat kilka w Warszawie, gdy mając być zruconym z urzędu, szukał protekcyi u wielkiego księcia, którą mu znalazłem przez generała Krasieńskiego i barona Morenheima zięcia ministra Mostowskiego. W Łucku nie zastałem biskupa Cieciszewskiego, tylko jego sufragana oficyała biskupa Podchorodeńskiego, wielkiego niegdyś przyjaciela ojca mojego, ten, acz skrupulat, zrobił mi niejaką nadzieję. Wyjechałem więc do Błudowa do przyszłej żony, a w kilka dni wróciłem z jej bratem do Łucka. Biskup Cieciszewski przyjął mnie z niewymowną uprzejmością i dobrocią, przeczytał list od biskupa Skarszewskiego, i po krótkim namyśle rzekł: „wyrozumiewam położenie twoje i kraju, i na zaręczenie księdza biskupa lubelskiego o pewności otrzymanej dyspensy, rozkażę ci dać ślub pod sumienia obowiązaniem, że gdy odbierzesz dyspensę rzymską, odeślesz ją do mojej kancelaryi, i pod drugą, abyś przez dziś tu zabaWił i przenocował w moim domu, póki nie wygotują w kancelaryi expedycyi do księży Pijarów międzyrzyckich. Potem wziął mnie do swego gabinetu, troskliwie wypytywał o Księstwo Warszawskie i Galicyę, o duch jej, o postęp nadziei. Ze łzami rzekł do mnie: „już ja nie będę widział ojczyzny, obowiązki mnie tu trzymają i wiek już chyłający się. Obym mógł doczekać powstania Polski.“

Rzeknę wtedy, *Nunc Domine dimitte spiritum servi tui* „i dodał“ *„Deus haec incepta secundet*, zawsze go błagam o to“. Znałem dawniej tego świątobliwego biskupa w Rasznikach, tu dam wierny jego postaci obraz. Był on wzrostu wysokiego, tuszy pełnej, twarzy nader przyjemnej, białej, acz w późnym wieku rumieńce mokraszonej, rysów wydatnych, włosów spuszczonej, białych. Ale jakaż w tej twarzy dobroć, słodycz, łagodność, a razem chrześcijańska pokora i skromność z powagą i godnością arcy-kapłana, jak pociągająca uprzejmość, jakie obejście się, najlepszem wykształceniem odznaczające się. Zdało mi się, że widzę przed sobą Ambrożego lub Tertuliana, z całym urokiem świątobliwości, jaką słusznie nietylko u Chrześcian, lecz i u Izraelitów słynął i był celem powszechnego uwielbienia, był to ideał prawdziwy arcy-kapłana. Powróciwszy do Błudowa w kilka dni wziąłem ślub w pokoju, dawał go rektor księży Pijarów. Zabrawszy żonę wróciłem do Lublina już zastałem preliminarja pokoju wiedeńskiego. Objąłem mój urząd,—w następującym oddziale dam opis wszystkich okoliczności, wśród których-go sprawowałem wraz w krótkim rysem Księstwa Warszawskiego.

Opisanie głównego trybunału lubelskiego*).

Godzi się wnosić, że mało jest osób, a przynajmniej ze starszych i uczeńszych, co by nie wiedzieli, co to był główny trybunał lubelski w kraju; który z królów polskich, i za radą jakiego męża odstąpił narodowi, a właściwiej mówiąc stanowi szlacheckiemu tego ważnego przywileju swojej korony, ale nie wiele już żyje takich, co by własnymi oczyma widzieli postawę tej naczelnej najwyższej i, że tak powiem majestatycznej magistratury sprawiedliwości; jej umieszczenie, jej skład, jej posiedzenia, jakim trybem i porządkiem je odbywała, jak się wywiązywała ze swego powołania, zgola jak przedstawiała w sobie i sobą ten majestat, który zlał na nią król dobroczyńca narodu i ludzkości. Rozrzucone po pismach publicznych współczesne tej magistratury obrazy zawierają po

*) Artykuł ten był drukowany w gazecie codziennej.

większej części krytykę lub satyrę jej wad, jej nadużyć, jej skażenia. Dopóki istniała nikt nie pisał i nie malował jej dokładnego wizerunku, bo nie było potrzeby opisywać i malować tego, co się w żywym składzie i obrazie przed oczami wszystkich rozwijało. Obecne pisma z małemi wyjątkami, nawiasem tylko i to gdzie niedzie, o niej wspominają. Dziś, gdy ta magistratura od pół wieku znikła z widoku i zgasła, i tylko po niej gmach, w którym odbywała swoje posiedzenia, przeżył ją i na rynku Lublina pozostał, dziś mówię kiedy ten gmach, w którym i dla którego odlegli naddziadowie i pradziadowie obecnego plemienia, po zwinięciu wojska większą część życia swego w Lublinie przepędzali, żyjący ich praprawnukowie z obojętnością bez spojrzenia mijają. Opisanie więc niniejsze przez starca, który prawie sam jeden pozostał nietylko jako naoczny świadek, lecz w młodości swojej jako uczestnik spraw i czynów, toczących się w tym areopagu polskim, może do przeczytania go nie odrazi ciekawych umysłów.

Trybunał najwyższy w dawnej Polsce składał się ze szlachty ziemian osiadłych, wybranych po jednemu z każdego województwa w Wielkopolsce, w Małopolsce i na Rusi, noszących nazwiska deputatów; i podobnie wybranych z deputowanych członków ze stanu duchownego przez kapituły z możniejszych i lepiej uposażonych prałatów, opatów, sufraganów i t. d. Świeccy deputaci mieli nad sobą zwierzchnika w marszałku wybranym z grona swego, a potwierdzonym przez króla, duchowni mieli na czele swoim prezydenta. Funkeya marszałka

równie jak prezydenta dla jej dostojności, powagi i wystawy wymagała znakomitych wydatków, a pensya marszałka złp. 20,000 ze skarbu publicznego przeznaczona, ledwo dziesiątą część tych wydatków pokrywać mogła. Naród albowiem polski lubi wystawność, ta prawie mu się w naturę obróciła, bez niej lekceważy wszystko, co jego nawykniom niedogadza. Wystawa, pompa, majestatyczność i cały szereg towarzyszących im uczt, zabaw, im kosztowniejszych tem powabniejszych i upodobańszych, im więcej jego imaginacyę uderza, tem więcej jedna osobom poszanowania, uległości, wyższości i przez nie wpływu; bez tych warunków mało któremu zwierzchnikowi udało się skutecznie przewodniczyć, prowadzić i kierować licznem zgromadzeniem. *Decipimur specie.* Dla tej przyczyny zwykle dwór, szczególnie Stanisław August od początku panowania swego, nie pomijając baczności na wewnętrzne usposobienie osób, na ich przymioty, charakter i zdolności, odpowiadające ważności obowiązków sędziego, starał się przed sejmikami deputackimi, chcąc dogodzić tej słabości narodowej mieć napiętego jednego z możniejszych senatorów lub urzędników koronnych i wskazywał go do wyboru współziomkom, a kandydatów przyrzeczonemi nagrodami do poświęcenia się na tę posługę skłaniał. Wkrótce też obudzona próżność i chęć znaczenia namnożyła współubiegających się, którym raczej przeszkadzać, jak ich zachęcać należało. Pierwszych marszałków za Stanisława Augusta, jako urodzony w roku 1772 nie pamiętam, słyszałem tylko o trybunale pod laską Chołoniewskiego, starosty kołomyjskiego; Krasieńskie-

go, oboźnego koronnego, a szczególnie Stanisława Małachowskiego referendarza koronnego i starosty sandeckiego, tego samego Małachowskiego, co był później marszałkiem sejmu 1788 a potem prezesem senatu w Ks. Warszawskim. Trybunał odznaczył się pod jego laską powagą, dostojnością i przykładowym szafunkiem sprawiedliwości, tak, że przewodnikowi swemu zjednał imię Arystydesa polskiego. On pierwszy jako, oświecony, prawy i nieugiętego charakteru mąż, przepisał trybunałowi porządek zasiadania i sądzenia, regularność posiedzeń, dostojność reprezentacyi. On pierwszy przez ordynacyę ujął w karby rozpasaną pod panowaniem dwóch Augustów palestrę; i ujął jej mecenasów pod władzę i zwierzchnictwo trybunału, których dawniejsi mecenasami nie uznawali, lecz raczej rządzili i rozkazywali trybunałowi jako bieglejsi w prawie czy w prawnictwie. Laska długa hebanowa, w srebrne skówki oprawna była godłem zwierzchności i powagi marszałka. Krzyż duży, srebrny z Panem Jezusem ukrzyżowanym był taką oznaką prezydenta, prócz tego spora skrzynka srebrna stała na środku stołu, przeznaczona na grzywny od stron na nie skazanych.

Skład trybunału tak zgromadzonego, przed pierwszym podziałem kraju odbywał trzy kadencye, przenosząc się z miejsca na miejsce, pierwszą w Piotrkowie, drugą w Lublinie, trzecią we Lwowie. Od pierwszego podziału zaczynał w Piotrkowie i limitował czyli kończył kadencyę przed Wielkanocą, a resassumował czyli zaczynał po przewodniej niedzieli w Lublinie i zasiadał aż do osta-

tnich dni Grudnia, to jest do św. Tomasza. Po limicie laskę marszałkowską i krzyż oddawano do składu i straży ziemstwa, sędzia ziemski ją zabierał i strzegł, i podczas reassumcyi na uroczystem posiedzeniu marszałkowi wręczał. Ziemstwa albowiem lubelskie i sieradzkie miały ciągle stallum przy trybunale, postawione jakby na straży tej magistratury, posiadały przywilej nie wychodzić na ustęp i być przytomnymi narodom i wyrokowaniu jako *perpetui assessores*. Sędzia ziemski był obowiązany donosić królowi w radzie nieustającej o odbytych sprawach, pośpiechu i postępowaniu trybunału, ztąd większa powaga od innych sędziów sędziego ziemskiego, lubelskiego i sieradzkiego, przez ten wpływ, jaki wywierać mogli na deputatów mniej biegłych w prawie lub spodziewających się mieć sprawy w następnych trybunałach. Pisarz sądu ziemskiego był stałym redaktorem wyroków trybunalskich, które w protokół zapisywał treściwie jeden z deputatów bieglejszych w prawie, a wybranych z grona do trzymania, jak nazywano, sententionarza w sali przeznaczonej na posiedzenia, ziemstwo miało osobne swoje umieszczenie za kratą żelazną, do pół osoby sięgająca, oddzielone przy ścianie, na prawej stronie krzesła marszałka. Ratusz, czyli dom sądowy, dawniej w innej przedstawiał się postaci; była to budowa stara, niekształtna, acz obszerna. Stanisław August podczas przejazdu swego do Wiśniowca na spotkanie i przywitanie następcy tronu państwa rosyjskiego Pawła I, odwiedziwszy trybunał, rozkazał architektowi swem Merliniemu przebudować ją i odtąd wzniosła się w tej postaci równie po-

ważnej jak i przyzwoitej, w jakiej dziś się przedstawia. Od tej bytności króla w Lublinie trybunał nie tylko zyskał przyzwoite dostojności swojej umieszczenie, lecz nabył tytułu Najjaśniejszego trybunału, gdyż dawniej nadawano mu tylko tytuł Jaśnie Oświeconego. W dawnym ratuszu, zapamiętam, na ścianie naprzeciw drzwi wchodowych, za krzesłem marszałka i prezydenta zawieszony portret wielkości naturalnej Augusta III w stroju polskim, w jakim się koronował, to jest w żupanie białym lamowym, kontuszu aksamitnym karmazynowym, w pasie bogatym, w złotych butach, przy karabeli suto obrylantowanej, z obstrzyżoną do czoła czupryną, z orderem złotego runa na szyi, a wstęgą błękitną orła białego przez ramiona; w oddaleniu zaś na bocznej ścianie portret podobny kanclerza koronnego Jana Małachowskiego, w żupanie ponsowym, białym kontuszu; przy karabeli, z włosami podgolonemi. W nowym ratuszu te portrety pozostały, lecz na miejscu Augusta III przybity był do ściany wielki portret Stanisława Augusta w stroju hiszpańskim, z krzyżami, z głową ufryzowaną i pudrowaną z tupetem w lokach, z rozrzuconym płaszczem, aksamitnym, karmazynowym z gronostajami, tak, jak go powszechnie po odbytej koronacji malowano. I mnie młodego, wtenczas zapatrującego się na te portrety zadziwiło, że August III król cudzoziemiec, nie sądził niegodnym swego majestatu stroju tego narodu, nad którym miał panować, bądź dla przypodobania się temu narodowi, bądź że mniemał, że królowi polskiemu szczególnie w tak uroczystym dniu sama przyzwoitość kazala Polakiem się okazać; kiedy Stanisław August, rodak

i szlachcic polski, syn kasztelana krakowskiego, co z cudzoziemskiej służby sukni cudzoziemskiej nie wyniósł, wybrał strój nie ten, jaki do twarzy narodowej, lecz do jego własnej przed zwierciadłem lepiej przypadał, i za radą młodych i pięknych kobiet, hiszpański wybrał. Mało znaczący na pozór ten krok już zdradzał tego króla płochy i lekki charakter.

Nowy ratusz urządzony był jak następuje: Przez ten gmach był sklepiony i brukowany przechód na wylot, na lewej stronie było umieszczenie czyli kurdygarda dla kompanii garnizonu dodanego do straży i powagi trybunału i izdebka dla oficera komenderującego tą kompanią, na przeciwko wchodu do ratusza odwach, na którym stały karabiny i leżały bębny. Regiment Czapskiego, autoramentu jak nazywano cudzoziemskiego, po niemiecku ubrany w mundurach ponsowych z zielonemi wyłogami, z harcapani długimi na wzór pruski, w kapeluszach czarnych stosowanych — składał tę straż trybunalską. Dalej na dole w ratuszu były izby dla więźniów okutych w kajdany, których używano do ochędóstwa około gmachu i tarcia drzewa do opału. Trybunał miał dodanych do sądowych posług dwóch instygatorów, których marszałek mianował i czterech woźnych ze szlachty z tubalnemi głosami za mojej pamięci odznaczyli się temi głosami Bujno i Byczkowski. Instygatorów było obowiązkiem przynosić i zanosić laskę marszałkowską i krzyż, pilnować porządku w izbie, wybierać grzywny od stron skazanych na nie, wlewać do skrzynki i opłacać woźnych i posługaczów, opędzać wydatki na światło

i inne potrzeby, co miesiąc rachować się z nich przed marszałkiem, a z reszty pozostałej ułożoną dywidendę roznosić i wypłacać deputatom, przy czem zawsze pieniężny upominek otrzymywali. Woźnych było obowiązkiem obwoływać zaczynające się posiedzenia, przestrzegać cichości i przyzwoitego zachowania się przytomnych widzów, uciszania gwarów, wypraszania na ustęp, przyzywania do słuchania wyroków, obwoływania i odwoływania posiedzeń, nakoniec przywoływania spraw z porządku przypadających, do czego mieli książeczki czyli tak nazwane wokandy. Do izby czyli sali sądowej wchodziło się przez schody kamienne nie dość oświetlone, przez przysionek długi i dwie wielkie izby ustępowe; na końcu tego przysionka od frontu głównego, na lewej stronie, była kaplica trybunalska z obrazem i ołtarzem Najświętszej Panny w srebrną sukienkę przybranej. Na prawej stronie był pokój długi, który zwykle w lecie najmowali cukiernicy i utrzymywali w nim słodkie, chłodzące napoje i lody, któremi zwykle młodzież w ustępach się raczyła. Izba czyli sala posiedzeń urządzona była w następującym sposobie: Od wielkich podwójnych drzwi przez kilkanaście kroków odstępu wznosiła się na trzy stopnie wyniesiona od posadzki tak nazwana kratka z pulpitem dla obrońców spraw; na pulce leżały zwykle Volumina Legum i fascykuly papierów; stało za nią najczęściej po prawej i po lewej stronie po trzech mecnasów od podwodowej i poznanej strony; przy mecnasach do pomocy w czytaniu dokumentów, mieścili się dependenci. Od tej kratki, aż do ściany, przy której na wyniesionej

o trzy stopnie podstawie były ustawione krzesła czerwonym safianem wybite dla marszałka i prezydenta, przez całą długość sali kilkooknowej rozciągał się stół długi, zielonem suknem okryty, otoczony po obu stronach ławkami, czerwonym suknem wyłożonemi i oddzielonemi drewnianą balustradą, za temi ławkami umieszczoną. Przy ścianach na około sali były ławki podobnem suknem wybite, dla przytomnej publiczności, na lewym boku, jak wyżej rzekłem, miejsce okratowane dla sądu ziemskiego, przy wielkich zaś drzwiach wchodowych w kącie, przy ostatniem oknie wysoko wyniesiona i obszerna trybuna dla możnych. W środku kratki w twarz prezydenta i marszałka wznosił się krzyż wielki czarno lakierowany z Panem Jezusem ukrzyżowanym, u którego nóg był nakreślony wielkimi białemi literami napis: *Justitias vestras judicabo*. Już to niebył ów krzyż i na nim przybity Pan Jezus, może jeszcze przez Jana Zamojskiego umieszczony, tamten, o którym gminna tradycyaniosła, że zapłakał na niesprawiedliwość wyrządzoną wdowie i zesłał szatanów na powtórne osądzenie sprawy, po którym niesumienni sędziowie karki ze schodów połamali,—jako cudowny od wieku przeniesiony został do ubocznej kaplicy w kolegiacie lubelskiej św. Michała i w niej obciążony pobożnemi wotami odbierał cześć, modły i błagania. Za mojej młodości jeszcze ta tradycya wrosła w sumienia i wiarę, wyprowadzała dobre skutki, z ostygłą wiarą utraciła swoje wrażenia, które nawet pogański pisarz rad był wyryć na sercach śmiertelnych w tym wierszu: *Discite justitiam moniti*. Po zawaleniu się

opuszczonej kollegiaty nie wiem czyli i gdzie ten krzyż przeniesiony został, to wiem, że pamięć tej tradycyi w umysłach zgasła.

Nad wielkimi wchodowymi drzwiami, był zawieszony obraz do pół osoby podłużny św. Tomasa, w którego święto zwykle trybunał się limitował, pod nim był umieszczony napis łaciński:

Ille ego qui facio privatam ex consule civem,
Ante meam privant vos mala facta diem.

Sala była malowana al fresco ze szlakami. Drugie piętro ratusza tego samego rozkładu jak pierwsze lecz mniej wysokie i z mniejszymi oknami, przeznaczone było na posiedzenia sądu ziemskiego lubelskiego i w nim swoje kadencye odbywał. Otwarcie czyli reassumcya trybunału a razem wjazd jego do Lublina odbywały się z pompą, powagą i pobożną uroczystością. Wszyscy członkowie jego przybrani w urzędowe szaty, to jest mundury swoich województw, przy szablach lub karabelach, zebrawszy się u prezydenta lub marszałka, udawali się *in corpore* lub pieszo, lub pojazdami, według pogody dnia, do kollegiaty, otoczeni członkami grodu, ziemstwa i palestry, gronem pacjentów i całą powszechnością do Lublina zgromadzoną. Cały garnizon występował pod bronią i prezentował ją przed przechodzącymi i przejeżdżającymi przy biciu po trzykroć w bębny. Brzmiały dzwony po wszystkich kościołach i klasztorach, nawet ów wielki dzwon pojezuicki, rzadko rozkołyso-

wywany, jęczał na wyniosłej wieży. Po wysłuchaniu mszy w kaplicy i uczeniu modłami owego ukrzyżowanego cudownego wizerunku, cały trybunał słuchał jeszcze sumy, zwykle przez biskupa lub jednego ze starszych kanoników lub prezydenta odprawianej. Witano go kazaniami i ewangeliczną nauką, nakoniec po odśpiewaniu hymnu „*Veni Creator*” tym samym porządkiem i z temi samymi honorami udawał się na ratusz. Gdy marszałek i deputaci zasiedli swoje miejsca, powstawał z za swojej kraty sędzia ziemski, już trzymający w ręku laskę, stosowną mową witał trybunał, przydając nieraz przestrogi z postępowania przeszłego trybunału zebrane, wróżby, jakie kraj czynił sobie z obecnego grona osób. Ten laskę marszałkowi wręczył, marszałek, trzymając laskę w ręku, odpowiedział na nią, następnie mówił prezydent, trzymając krzyż w ręku, potem wstąpił na kratkę jeden z wybranych mecenasów, podobnie witał trybunał i podobne odebrał podziękowania. Uderzył zaraz marszałek laską o stół, woźny przywołał sprawę z porządku wokandy, zapisano obecność stron osobistą lub przez pełnomocnika i za uderzeniem powtórnie laski odwołano posiedzenie do następnego dnia, a całe grono udało się do prezydenta lub marszałka zaproszone na obiad, podczas którego grzmiały moździerze, brzmiała janczarska kapela i cały batalion regimentu Czapskiego dawał ognia z ręcznej broni. Ze smutkiem tu wspomnę, że podczas trwania trybunału, na podobnego rodzaju ucztach deputatów, nietylko zwykle ten batalion pełnił tę służbę, lecz widziałem prostych żołnierzy w mundu-

rach, noszących półmiski do stołu w miejsce lokai, widziałem, jak stojący w oknie podoficer z laseczką w rękę, za wzniesionym kielichem za zdrowie solenizanta, dawał znak oficerowi komenderującemu batalionem, a ten rozkazywał wystrzali. Co za mieszanina powagi i dostojności a raczej próżności z jednej, poniżenia i podłości z drugiej strony, kiedy pod mundurami cywilnymi duma i próżność podszyla się i nadymała, w obrońcach ojezyzny i pod ich szatą nie było wyobrażenia honoru, lecz poniżenie i spodlenie. Laskę marszałkowską po odwołaniu sesji zwykle instygator z woźnami odnosili do marszałka i prezydenta, i tym samym porządkiem przynosili na posiedzenie; przed temi insygniami kompania żołnierzy, stojąca w ratuszu, prezentowała broń i dobosze bili w bęben po trzykroć, jakby przed osobami z trybunału. Byli tak próżni deputaci, którym do tego stopnia pochlebiali te honory, iż pamiętam niejakiego Pinińskiego, rodem Podolanina, a z posiadanego w województwie lubelskiem majątku, wybranego na deputata lubelskiego, który, nim się wychylił z bramy krakowskiej na rynek, aby go ten honor nie minął, wysyłał naprzód idącego za sobą hajduka, mówiąc do niego: „Idź, ostrzedz oficera na odwachu, że deputat lubelski idzie, aby kazał stanąć do broni i bębnić”. Gdy się członkowie trybunału zeszli w komplecie siedmiu na trzydziestu, codziennie przed posiedzeniem słuchano mszy świętej w kaplicy, przed obrazem N. Panny w srebrnej sukience. Ten obraz w święto Najświętszej Maryi Panny Niepokalanego Poczęcia, obnosili procesyjnie marszałek i prezydent po kościele pojezuic-

kim. Mszę zwykle odprawiał jeden z duchownych deputatów, a czasem sam prezydent; członkowie trybunału napelniali kaplicę a przysionek pacyenci, palestra i powszechność. Woźni, ubrani zawsze w żupany i kontusze zwykle koloru niebieskiego z karmazynowym i, jako szlachta, przy szablach, w przechodzie marszałka i deputatów wołali tubalnym głosem: „Mości Panowie ustąpcie się JW. NN.”; podczas mszy w przysionku grała cała orkiestra lubelska pobożne symfonie przy głosach śpiewaczek. Za mojej pamięci śpiewała młoda, 17-letnia dziewczyna Miklasiewiczówna, córka dyrektora kapeli lubelskiej, która potem poszła za mąż za Włocha Campi, słyszałem ją w roku 1805 śpiewającą w Wiedniu na teatrze w wielkich operach, w głównych rolach i w rzędzie pierwszych śpiewaczek, słyszałem później w Warszawie za Księstwa Warszawskiego na teatrze i w rolach narodowych. Po ukończeniu mszy, gdy trybunał ruszył się do sali, woźni wołali powtórnie: „Mości panowie ustąpcie się”. Gdy członkowie zasiedli swoje miejsca, woźni powtarzali: „Mości Panowie uciszcie się!” Malownicza była postać tego grona poważnego i dostojnego dla różnofarbnych wojewódzkich mundurów, z rozmaitemi wyłogami i szlifami złotymi, z sutemi bulionami póki z nich ramiona, *lex sumptuaria* to jest prawo oszczędnicze, nie obrało, malownicza szczególnie w oktawę św. Stanisława, jako w dnie uczt, balów, iluminacyi, fajerwerków na cześć króla. Mundury te albowiem orderowe były bogate; żupany ponso-we, kontusze białe, na wszystkich szwach szamero-wane, złotymi szlakami z fabryk krajowych Słucka

i t. d. Szaty przy bogatych pasach i wyłogach ponsowych przez ramiona, powabny widok czyniły; niejednostajność tylko psuła go, że te długie i poważne ubiory a głowy golone, wąsy po szwedzku wystrzyżone lub zwiesiste, przecinały fraki francuskie, tupety i głowy pudrowane; któż w onych czasach nie szczyił się orderem św. Stanisława i gwiazdą z napisem: *premiando incitat*. Do takiego taka wstęga upodlenia przysła, iż zacni i prawdziwie zasłużeni mężowie wstydzieli się jej nosić, gdy się ukazała na barkach szulerów, burdów, rębaczów, politycznych i towarzyskich złoczyńców. Stanisław albowiem August przez swoje marnotrawstwo i niewierne rządy jego intratnych ekonomii, po zrządzeniu się rozdawnictwa starostw do niedostatku przyprowadzony, nie mając czem wynagradzać swoich sług, swoich faworytów, swoich dworskich pochlebców i szambelanów, dozwolił kancelaryi swojej obdarzać ich patentami na order św. Stanisława z okienkiem, które oni sprzedawali więcej dającemu, najmniej za 100 czerwonych złotych, i wpisywali imię i nazwisko nabywcy. Można sobie wystawić kto sprzedawał i kto kupował. Poważniejsza zapewne była postawa tych trybunałów za czasów Wazów, w których jeszcze cudoziemieczyna nie psuła harmonii w jednostajności ubiorów, gdy poważne brody, głowy strzyżone, żupany z taśmą i klamrą kameryzowaną, i guzami z drogich kamieni, szuby z sobolami lub płaszcze szkarłatne odbijały w tem gronie w sposobie, jaki widzimy na dawnych obrazach i jaki uderzył moje oko w Kielcach w pałacu biskupim w sali na suficie rozcią-

gnięty obraz sejmu abdykacyjnego za Jana Kazimierza. Wiadomo, iż ubiór polski w różnych wiekach, przez różne przemiany czerkieszczyzny, kozaczyzny i t. d. przechodził. Szlachta polska, lubiąca zmiany i wykwinność w stroju, rozmaite kroje przyswajała. Kolorowe suknie noszono od niedzieli do piątku, w piątek czarne, w sobotę popielate: nikt na trybunał wchodzić nie ważył się w surducie lub kapocie, każdy musiał być ubrany w uroczystą szatę i przy szabli u boku.

Gdy członkowie trybunału zasiedli swoje miejsca i mecenasi wstąpili na kratkę, marszałek uderzył laską o stół, woźny przywołał sprawę z porządku rejestrów po zapisaniu komparycyi czyli stawienia się stron osobiście lub przez pełnomocnika. Cztery były rejestra spraw, których woźni mieli książeczki tak nazwane wokandy z każdego województwa osobne.

1) Ordynaryjną czyli spraw cywilnych *de jure hæreditatis et possessionis*.

2) Faktowy czyli spraw uczynkowych.

3) *Incarcerator* czyli spraw kryminalnych.

4) *Poenelium* czyli spraw *male gesti officii* przez urzędników sądowych po zapisaniu komparycyi.

Gdy strony nie stanęły wypuszczano sprawę *per non sunt*, a przywoływano następną; gdy jedna tylko stanęła, stawający od obecnej strony obrońca dyktował na niej kondemnatę, czyli skazanie na dopełnienie wniosków strony obecnej i kary pieniężne za niestawienie się: kondemnata tamowała *activitatem* polityczną. Gdy strona na trzech trybuna-

łach nie stawiała się, wprowadzano jednostronnie sprawę i otrzymywano wyrok *in contumaciam*. W sprawach kryminalnych kondemnata, a tem więcej wyrok *in contumaciam* pociągał za sobą banięczy czyli wygnanie z rygorem *liberae captivationis et colli*, to jest wolnego przez każdego ujęcia i zabicia. Gdy obie strony stanęły, zaczęły się tak nazwane indukty czyli wprowadzenie sprawy, leżały na pulpicie fasykuły z dokumentami i *Volumina Legum*, mecenas od strony powodowej opowiadał ustnie sprawę czyli *historiam rei* a to nazywało się *meritum* sprawy. Po nim drugi od tej samej strony rozwinął dokumenta, usprawiedliwiające twierdzenia pierwszego, dependent jego summariusz tych dowodów w treściwem skróceniu rozpisany lub drukowany rozdał członkom trybunału, czytał następnie te dokumenta, a mecenas je tłómaczył i to nazywało się eksplikacją dokumentów. Na to, tym samym porządkiem głos zabierali mecenas przeciwnej strony; na ich wnioski i twierdzenia odpowiadał zwykle najbieglejszy mecenas, i to zwano repliką. Odpowiedź na replikę strony pozwanej miała nazwę dupliki, gdy się tak ukończyły indukty. Mecenas z obydwóch stron replikujący wnosili i czytali swe konkluzye, każdy według swoich wniosków w języku łacińskim, w którym prawa i dokumenta pisane były i składali je deputatowi, trzymającemu sentencyonarza. Jeżeli się znalazło co opuszczonem w induktach, wnoszono dodatkowo i to nazywano *illacyą*, następnie marszałek uderzał laską w stół, a woźni po trzykroć wołali: „Mości panowie na ustęp, na ustęp Mości panowie”, a cała publiczność odda-

łała się do sal ustępowych. Trybunał w samotności naradzał się nad wyrokiem. Czasem gdy strony były obecne osobiście, osobiście ze znaczniejszych i znakomitszych osób obojej płci, gdyż i między kobietami znajdowały się sławne pieniaczki, intrygantki i tak nazwane wersatki, tym podczas wprowadzenia dawano krzesła przy szrankach oddzielających prezydenta lub marszałka. Jeżeli który z pa-cyentów chciał się przymówić, prosił o to marszałka i dozwolono mu też było, lecz oprócz księcia Kazimierza Nestora Sapiehy, generała artyleryi litewskiej, później na sejmie konstytucyjnym marszałka W. Ks. Litewskiego, pana wymownego i wyćwiczzonego w prawnictwie, rzadko znaleźli się ochotnicy. Za to nie raz niebaczni ojcowie lub matki podczas toczącej się ich sprawy przyprowadzili z sobą młode, piękne córki i synowe, aby wymowniejszem nad usta mecenasów spojrzeniem, jednały przychylne vota. Widziałem na jednej ważnej sprawie najslawniejszą w Polsce pieniaczkę, jedną z tych pięciu Elżbiet, które Węgierski w swoim paszkwilu opisał, za co za wyrokiem sądu marszałkowskiego przed spaleniem jego wierszy przez kata na rynku, uchodzić musiał z kraju, widziałem, mówię, tę zapałoną i czuchrającą sobie włosy z rozognionym wzrokiem i twarzą pieniaczkę, pożerającą mściwem spojrzeniem każde słowo przeciwnego sobie mecenasa, miotającą się na krzesle, przerywającą mowę głośno lud szepejącą jakiemu deputatowi do ucha. Pomyslałem sobie, że z takich kobiecych poczwara-żytni musieli brać wzory do malowania w swojej mitologii pod żeńską plecią Furyi, Harpii i Megier,

jako dręczycielek potępionych na piekielne męki. Dzwonek prezydenta po naradzie zwykle przywoływał publiczność do sali. Woźni wołali: „Uciszcie się Mości panowie”. Do słuchania dekretu wstawał deputat, trzymający sententionarz i czytał głośno bez żadnych motywów samą treść wyroku i oddawał pisarzowi ziemskiemu, lub wybranemu z województwa na registr jego. Pisarz dopiero układał wyrok z wywodami i powodami, i wydawał stronom za dobrowolną ich ofiarą, która jedynie składała jego wynagrodzenie.

Trybunał koniecznie i nieodzownie podczas jednego ustępu powinien był sprawę osądzić, nie wolno było odkładać rozpoczętych narad do drugiego posiedzenia, chociażby przyszło siedzieć przez noc całą. Mecenasi i palestra nie odstępowali sądu aż do ogłoszenia wyroku. W sprawach kryminalnych i kapitalnych okropny i przerażający zachowywano obrządek, którego wrażenia dotąd we mnie nie zatarłe pozostały. Po skończonych oskarżeniach, obronach i naradzie wprowadzono nieszczęśliwego więźnia pod karabinami do sali sądowej. Jeżeli woźny zawołał: „uciszcie się Mości panowie do słuchania dekretu” wystąpiła nadzieja na twarz wybladłego winowajcy, gdyż to było znakiem łagodniejszej kary, lecz gdy ozwał się instygator: „woźny zamknij drzwi i otwórz drzwi”, ten głos już był oznaką śmierci i jej bladość powlokła lica nieszczęśliwego. Wtenczas woźny po trzykroć z wielkim hałasem otworzył drzwi podwójne i gwałtownie zatrzasnął, że gmachu okna się zatrzęsły. Sędziowie świeccy powstali i nakryli głowy, duchowni jak nie należą.

cy do wotowania, siedząc podparci łokciami, zakryli rękami twarze. Woźny tedy zawołał: „uciszcie się Mości panowie do słuchania dekretu”. Pisarz ziemski przeczytał dekret, wtedy przerażenie było powszechne, odprowadzono natychmiast więźnia, oddano pod straż magistratu i w trzech dniach, jeżeli karę śmierci, to na rynku, jeżeli karę szubienicy za miastem poniósł. Otoczenie kary śmierci tą smutną i razem groźną uroczystością, sprawionem przerażeniem, wielkie moralne, równie z winowajców jak z obecnej powszechności, wyprowadzało skutki. Trybunał jednym trybem zawsze i przy jednych honorach wchodził i schodził z posiedzenia z jednakową ceremonią reasumował się i limitował, z tą tylko różnicą, iż przy limicie na uroczystem nabożeństwie w kollegiacie już nie *Veni creator*, lecz *Te Deum laudamus* śpiewano. Po limicie często wychodziły wiersze, jeżeli trybunał był przykładny pochwalne, jeżeli występny satyryczne. Autorami ich byli Zatajewicz mecenas, lub Dobrzański dependent; i w takim sposobie spełniał się napis, pod obrazem św. Tomasza umieszczony.

Wiadomo jest wszystkim czytającym naszą historię, iż szlachta polska zszadzona z koni i rozbrojona po zwinięciu wojska w r. 1717 z jaką walecznością odbijała na granicach kindzały, bułaty tureckie i tatarskie spisy, z takim zapalem i że tak powiem z gorącą zajadłością rzuciła się w spory między sobą o majątki, zaniedbane długą nieobecnością, rzuciła się, mówię, w prawnictwo i pieniactwo; już nie było słyhać na granicach i w kraju szczęku broni, ale szelest zbutwiałych i kurzem okrytych

szpargałów po kancelaryach i archiwach grodzkich, ziemskich, trybunalskich. Instytucya trybunału była dobra, nie była doskonała jak wszystkie ludzkie dzieła! Wybory sędziów do najwyższego sądu powierzone gminnym szlachty zgromadzeniom bez udziału najwyższej władzy złożonej w ręce króla, były jego najgłówniejszym błędem. Gdyby był tej szlachcie powierzonym wybór tylko kandydatów, a królowi prawo mianowania jednego z trzech wybranych z każdego województwa, jak to było w wyborach sędziów ziemskich, namiętności, ludzkie zabiegi, intrygi mniej byłyby znalazły placu. Prawo nieodpowiadało dość skutecznie ochronie sprawiedliwości od występnego ducha sędziów, wymagając otrzymania dwóch zgodnych wyroków w trybunałach, a opóźniało bieg tejże sprawiedliwości do tego stopnia, że zaległości spraw do ogromnej liczby narosły. Przecież chociażby ta instytucya najtrafniejsze używała była udoskonalenie i poprawę, zle nie w niej samej, lecz głębiej i obszerniej, to jest w całym narodzie leżało, leżało w zepsuciu obyczajów całego narodu. *Quid leges sine moribus proficiunt.* To skażenie obyczajów szczególnie w szlachcie już się w czasach ustanowienia trybunałów okazywać zaczęło, zwiększało się przez panowanie Wazów, Michała i Jana III. August II dokonał go, skaziwszy pleć żeńską zalotnością, męzką pijaństwem i rozrzutnością; August III oraz pobożna i enotliwa królowa przykładem swoim nie nie naprawili; z tego, co ich poprzednik zepsuł; przytem król ten dobry i spokojny, lecz ociążały, zatargami wewnątrzniemi zmordowany i zrażony, zobojeźniał dla tego kraju, któ-

rego obojętności dla siebie w nieszczęściu uciskającym Saksonią doznał. Stanisław August nie mógł tego dać, czego sam nie miał. Oświecony ten król znał złe, zabieżyć mu usiłował, lecz przez wzór z siebie; przez słabość charakteru ugrzeczniał raczej występki i skażenie i że tak powiem powabniejszemi je uczynił; wiele zaczął, nie wiele dokonał. Co tylko zamierzył z niepojętą łatwością, przez słabość charakteru odstępował, przewidywał skutki, uniknąć ich nigdy nie zdołał, chociaż jęczał tylekroć nad spełnionemi, i właśnie przystał mu ten napis pod jego portretem umieszczony: *Quaesivit lucem coelo ingemuitque reperto*. Można śmiało do rządów tego króla zastosować ten wiersz Owidiusza z Medei: *Video meliora proboque deteriora sequor*. Król ten w przejeździe swoim do Wiśniowa, odwiedzając najwystępniejszy i najohydniej gorszący trybunał pod łaską Olizara stolnika litewskiego, przyjął zaproszenie na obiad do marszałka, wymawiając sobie wyraźnie i nakazując, aby bez kielichów, właśnie go temi i licznemi kielichami przyjęto. Gdy przy obiedzie zbyt sobie podochocili biesiadnicy i marszałek na klęczkach błagał, aby król dozwolił jeszcze jeden kielich za zdrowie swoje wychylić, spostrzegłszy już dobrze rozgrzane głowy, dozwolił, lecz razem im dał naukę i przestrożę; „dozwalam — rzekł: — „ale pod tym warunkiem, aby posiedzenia popołudniowego niebyło, bo potrzeba żebyście W. Panowie wiedzieli, że Turcy nawet, których barbarzyńcami nazywamy, gdy na sądy idą, kawy nie piją”. Przecież po takich przestrożach i listy instancjonalne do marszałka i deputatów za sprawami pisywał,

gdy go o nie jego stronnicy, słudzy lub piękne kobiety błagały i na forszę spraw przeciw możnym swoim antagonistom poufnych swoich faworytów zsyłał, którzy po dwakroć gorszące sceny pod okiem tego trybunału i z trybunałem wyprawili. Staszic w swoich dziełach ze zgrozą wspomina jedną z tych scen na którą patrzył, jak czereda opalców i na pół nagich pod przewodnictwem jednego z panów naszła trybunał i prezydenta chorego z łózka wywlekła. Patrzyłem i ja na tę scenę i widziałem drugą, jak jeden z pierwszych możnowładców, przeciwnych królowi za wpływem króla przegrawszy sprawę, w biały dzień rozkazał zapalić 24 pochodni i wyprawił z podobnie pijaną chałastrą procesyą do trybunału obchodząc ratusz z okrzykiem: „Szukam poceziwych ludzi”. Takimi scenami oburzony Staszic w przestrogach swoich dla Polski, a szczególnie w pochwale Jędrzeja Zamoyskiego owego najenotliwszego Polski ekskanclerza, trybunały lubelskie nazywał placem popisu przewagi możnowładców, pijaństwa, kosterstwa i wszelkiego rodzaju bezprawia, zbiorem jurgieltników, stronników, przekupniów, a Lublin bazarem, na którym sprzedawano sprawiedliwość; sam zaś z sobą w sprzeczności, trybunał, na którym Jędrzej Zamoyski za czasów Augusta III marszałkował, wystawia jako wzór bezstronnego sądownictwa; na tym trybunale marszałek, podnosząc laskę, złożył na stole nieodpieczętowane wory złota, któremi go ująć na swoją stronę w sprawie jeden z możnowładców, a nawet krewnych jego, usiłował. Nieprzypomniał sobie Staszic ani trybunału pod laską Karwickiego regenta kor., który deputa-

towi wielkopolskiemu Szulerzyckiemu, co na ustępie kolegę swego Młodzianowskiego w twarz uderzył, nie schodząc z ratusza *stante pede*, głowę uciąć kazał; nie przypomina sobie trybunału Stanisława Małachowskiego marszałka sejmowego, ani tylu innych sprawiedliwych i przykładowych. I w istocie patrzałem na złe gorszące, patrzałem i na dobre. Trybunały pod laską Chołoniewskiego, Krasińskiego obóznego kor., Karsznickiego kasztelana wieluńskiego: Węszyckiego, do dobrych trybunałów opinia powszechna zaliczyła: trybunał Małachowskiego, starosty oświęcimskiego, później wojewody krakowskiego, a szczególnie Szwejkowskiego, wojewody podolskiego i Jana Małachowskiego starosty opoczyńskiego, a za naszych czasów wojewody król. pol. w rocznikach sądownictwa słyęły dostojnością, powagą i sprawiedliwością. Inne aż do Grodzickiego krajczego koronnego już nie marszałka, lecz prezesa tego najwyższego sądu, pod którym się na zawsze zamknęły, ścigały na siebie usprawiedliwione wyrzuty. Trybunał, o którym wyżej wspomniałem Olizara stolnika litewskiego, sławny nieprawością, intrygami, pijaństwem, wszelkiego rodzaju rozpustą, palcem wytykano gdy zasiadał, gdy zeszedł, z oburzeniem wspominano, zgoła jak we wszystkich sprawach ludzkich, tak i w trybunale lubelskim złe z dobrem koleją się przeważało. Staszcie przewagę złego możnowładcom bez różnicy przypisał, z obecnych świadectw tak ogółowo potępiać wszystkich nie można. Sami ci wyżej wzmiankowani marszałkowie trybunału, oświeceni, prawi, sprawiedliwi, dobro kraju i sprawiedliwości nad swoje osobiste do-

bro przekładający i rzadkiem poświęceniem się służący wiernie krajowi i narodowej sławie, byli z urodzenia, z majątku, ze znaczenia, z przewagi możnowładcami. Zgoła z tego wszystkiego co powiedziałem, ważąc na szali zimnego i nieuprzedzonego sądu, zastosować można równie do trybunału jak wieku, w którym żyłem, co Tacyt o najgorszych czasach Rzymu w swojej historyi wyraził: *Non tamen adeo virtutem sterile saeculum, ut non et bona exempla prodiderit.*

Księstwo Warszawskie w r. 1806. — Galicya Zachodnia w r. 1809.—Rząd Centralny.

Zawód gorących pragnień, obszernych i niecierpliwych nadziei, przez utworzenie traktatem tylickim Księstwa Warszawskiego w miejsce spodziewanej Polski, zdziwił, zasmucił i obruszył kołysane ufnością w słowo Napoleona Polaków umysły. Konstytucya dla tego drobnego księstwa, przez Stanisława Potockiego za wyrazami samego cesarza na kolanie z pośpiechem kreślona, niema w niej reprezentacya narodowa, rozgałęziona kosztowna administracya, kodeks Napoleona za prawo, wojsko liczne lecz na niestosowną do ubóstwa kraju stopę francuską płatne, ogromne sumy banków berlińskich połowę wartości a nawet całkiem po znizeniu ceny ziemi, dobra właścicieli obciążające, na skarb cesarza zabrane, nakoniec dobra rządowe, po większej części między marszałków francuskich rozdzielone i z pod władzy rządu krajowego wyjęte, powiększyły uzalania i smutki. Jeżeli wybór króla saskiego na wład-

cę małą cząstkę spełnionych życzeń zaspokajał, obecność i władza prokonsula francuskiego w osobie marszałka Davoust, rozłożone liczne wojska francuskie, w wymaganiach niepodobnych do zaspokojenia nienasycone, upokarzającym czyniły ten szczupły dar i zwiększały utyskiwania. Nowa ta organizacja kraju, przy wyborze nie wszędzie trafnym departamentowych naczelników, nie przyłożyła się do złagodzenia powszechnych zniechęceń. Niektórzy z nich szarfą francuską dumni, woleli być niezręcznymi Francuzami jak wyrozumiałymi współziomkami. Bogate ich szaty natrząśającym się z nędzy powszechnej widokiem raziły zubożałych mieszkańców, obudzały w podłych i chciwych zazdrość, w skromnych nienawiść i skargi. Prócz tego jak w każdym wielkich wzruszeniach zbiegać się zwykła, jak na plac polowu, łakoma łupu i korzyści, a chciwa wyniesienia się rzesza. Tak Księstwu Warszawskiemu dostarczyła Galicya swoich półmędrków a Włochy swoich wychodźców i włóczęgów a mniemanych prześladowanych patryotów, których nikt z kraju polskiego nie wypędzał, ale właściwie niespokojnym umysłem awanturnictwo za granicę uniosło. Nieproszeni ci opiekunowie losów Polski, czepiając się legionów, tworzyli projekta jej ratunku, wołali do opuszczonego przez siebie kraju o składki, zwodzili niebacznych, narażali na prześladowania nieostrożnych, a uzyskane ofiary własnym marnotrawstwem trawili. Jedynemu zaś istotnemu reprezentantowi Polski Dąbrowskiemu za odrzucenie ich projektów, potwarzają się odplacali. Utrudniali sprawę Polski niesnaskami i niezgodą, a cha-

rakter narodu w oczach obcych ohydzali. Pierwsi i drudzy dla znajomości języka francuskiego w początkowym odmęcie zapelniając podkomisję rządzącą opuszczone przez urzędników pruskich biura, już zawód urzędniczy poczytywali za swoje dziedzictwo i do wyższych miejsc z obecnych zasług rościli prawo. Przy stałej organizacyi nie umieszczani, lub umieszczeni nie według życzeń zarozumiałej miłości własnej i próżności, przybrali postać pokrzywdzonych patryotów, roznosili uzalenia i potwarze, ohydzali rząd, namawiali do oporu, jątrzyli i wciągnęli w swoje sidła zacnych ale łatwowiernych miłośników ojezyny, a z powszechnej wady narodowej skłonniejszych opierać się i przyganiać jak słuchać. Wodzowie też legionów polskich przywiedli niemalą liczbę zasłużonych żołnierzy, którzy już przez wiek i osłabione trudami siły do oręża niezdatni, wołali o nagrodę zasług swoich lub ran w ostatniej wojnie poniesionych, wołali o miejsca i urzędy, których zabrakło. Król obłożony prośbami, chociaż sam żadnego dochodu ze skarbu nie pobierał, jednych z własne szkatuły wspomagał, drugim pensye z ubożego skarbu wyznaczał, zdolniejszych na rządców dóbr narodowych lub strażników lasów skarbowych zalecał. Niektórym dzierżawy dóbr z względem wymiarkowaniem dochodów wypuścić kazał, z których oni, marnując na zbytki intraty, nie nie wnosząc, ubożyli skarb a wszelki przymus, surowość, cierpliwość samą jak niewdzięczność wyrzucając, łączyli się z powyższego rodzaju patryotami i liczbę mal-kontentów powiększali.

Wojско też acz zyskanemi świeżo laurami

chlubne, nie uszło zarzutu. Ubiorem i duchem więcej francuskie, niż narodowe, nie wiedzieć czy sławę wojowników, z którymi się zbraciło, czy ich uciążliwe wymagania, nadużycia i przewodzenia więcej pokochało. Wodzowie polscy pobłażając, własnym przykładem upoważniać zdawali się to, z czego ich w podbitych obcych krajach prawo zwycięstwa wymawiało, a co im nałóg do własnej ojczyzny przeniesiony milem czynił. Mianowanie księcia Józefa Poniatowskiego na ministra wojny i powrócenie mur stopnia, jaki przed podziałem Polski posiadał, acz nie ubliżało ani sławie ani godności narodu, przecież przez porównanie jego przeszłości pod rządem pruskim i miękkości życia w Warszawie gdy legiony polskie dobijały się ojczyzny, nie podobało się powszechnej a uprzedzonej przeciw niemu opinii i wydawało się krzywdą wodzów pod sztandarami Napoleona za granicą osiwiących, a chociaż krzywdą nie było, obrazą się stało. Zajęcie dawna domowi Poniatowskich nieprzyjazny, a do narodu za niesłuszne posądzenia w powstaniu Kościuszki żywiący urazy, wzbraniał się znaków francuskich zamienić na polskie. Zmuszony rozkazem Napoleona przyjął dowództwo pod Poniatowskim z jawną niechęcią i oporem i nienawiści nie zmienił. Dąbrowski poddał się otwarcie, lecz skrycie truł ufność wojska. Poniatowski miał zwierzchność, Dąbrowski przychylność i władzę. Ta nieufność wojska, ta niejedność między niem a obywatelstwem, przy powszechnej a wzrastającej po kraju nędzy, jątrzyła rozdrażnione nią umysły mieszkańców. Darremnie Osiński, Wężyk, Woroniecz, Niemcewicz swe-

mi picniami, Towarzystwo Przyjaciół Nauk mowami, tenże Wężyk i Osiński teatralnemi patryotycznemi sztukami, budzili zapał. Gasł on jak płomień z nietrwałego włókna, zwłaszcza że byli i tacy którzy go studzili, jak Molski swojemi szyderczemi wierszami.

Po domach więc prywatnych, w towarzystwach, wzmagały się narzekania, skargi i obwinienia. Poduszczali je pozostali na miejscach po rządzie pruskim urzędnicy ukrytą wierność dla swego rządu dobrze tać umiejący, a przy każdej sposobności zdradzający się w swojej tęsknocie i nie tracący nadziei odzyskania panowania nad tym krajem. „Źle wam było pod rządem pruskim w dostatkach, w mnóstwie pieniędzy i swobodnych zbytkach, czy lepiej teraz przy mniemanej ojeczyźnie w nędzy i upokorzeniu”? Te były ich słowa na ulice między zniecierpliwioną publiczność puszczone, aż nakoniec te skargi, te wyrzekania przeniosły się do izby pierwszego sejmu w głosach Godlewskiego, posła maryampolskiego, który stan kraju i ducha mieszkańców w obrębie dotąd jedynie granic jego znany, niebacznie jawnym w Europie uczynił. Tak co dotąd tylko wnosili obcy, w to chętnie uwierzyli. Na tych wiadomościach opierała się proklamacja arcyksięcia Ferdynanda przy napadzie na Księstwo Warszawskie do mieszkańców wydana: „Łączcie się ze mną, a powrócę wam utracone szczęście, któregoście pod legalnym rządem używali“. Chwała charakterowi narodowemu i obudzonemu przez prawych i gorliwych mężów zapałowi, że się wódz nieprzyjacielski zawiódł.

Przyłączenie Galicyi do księstwa wspomogło go ziemią, ludnością, wojskiem, duchem, nie wspomogło zamożnością. Sama wyniszczone z zasobów, nie przyniosła zubożonemu skarbowi jak papierowe pieniądze, połowę wartości tracące. Znikł z obiegu kruszec a śpichlerze wypróżnione, trzody bydła i koni wyniszczone ofiarami na wojnę, raczej potrzebowały wsparcia, jak żeby go udzielić mogły. Jedna tylko połowa kopalni soli w Wieliczce, żelaza i cynku w Suchedniowie, niejaki dawała zasilek. Za to nowa organizacya kraju i wojska, zbyt kosztowna samem mnóstwem urzędników cywilnych i wojskowych narażała na nowe wydatki. Prócz tego Galicya przychodząc do księstwa przyniosła z sobą w sercach niejaka urazę, którą zarozumiałość wojska, niezręczność rządu warszawskiego ściągnęła, a postępowanie jego urzędników wysyłanych do Galicyi rozjątrzyło. Przy wejściu wojsk polskich do tej części kraju rząd tymczasowy dla niej, w miarę postępu układał się w Klimontowicach u Ignacego Potockiego, marszałka niegdyś w. ks. litewskiego, męża z rozumu i patriotyzmie powszechnie wielbionego. Gen. Aleksander Roźniecki idący w przedniej straży, przez siostrę swoją, żonę Jana Potockiego, brata jego, z nim spowinowacony, pierwszy mu tam hołd oddał i naradził się z nim o sposobie urzędzenia kraju przez oręż zajmowanego. Z tych narad wypadło, aby w niepewności utrzymania się przy zdobyczy nie wzruszać z gruntu porządku, zatrzymać urzędników austriackich na miejscach, gdzieby ci pozostać chcieli, dodać im tylko urzędników z Polaków aby ci strzegli ich postępowania, a we-

zwaniom wchodzącego austriackiego wojska skwapliwiej zadość czynili. Urzędnicy też austriacy odebrali od swego rządu ostrzeżenie aby na przypadek ukazania się jakowego oddziału wojsk polskich nie przerazali się chwilowym, a w wojnie zwykłym wypadkiem, posad swoich nie odstępowali, kasy tylko usuwali w bezpieczne miejsca. Lecz postrach poprzedzający hufce polskie, kilku huzarów węgierskich, ranionych w potyczce, uchodząc przez Lublin taką trwogę rozniosło, iż wkrótce wszystkie drogi w kraju napełniły się wozami napchanymi żonami, dziećmi i bagażami przelękłych oficyalistów cywilnych i wojskowych, uchodzących ku Zamościowi, twierdzy, w której dowodził Pulszyński, waleczny austriacki pułkownik. Ta wędrówka tych, którzy co dopiero zarządzili krajem, wyjawiała przed oczami wiejskich mieszkańców rzeczywiste wieści, które wprawdzie do nich dochodziły, lecz które tylko sobie nawzajem w cichem szeptaniu udzielali. Natychmiast ledwie nie wszyscy właściciele między Bugiem a Wisłą mieszkający zbiegać się zaczęli do Lublina i napełniając miasto samą przytomnością swoją i gromadnym kupieniem się po ulicach, oraz nieznaną dotąd śmiałością rozmów, zdradzającą się radością na twarzach, trwożyli urzędników austriackich. Szczególna była wtenczas postać Lublina. Z jednej strony wesołe, z drugiej—blade i smutne twarze. U rządzących bojaźń i przerażenie u rządzonych niejaka wyższość, u mniej ukształconych natrząsanie. Po biurach administracyjnych i sądowych wielu było młodych Polaków. Ci w jednej chwili ujrzeni się panami swoich zwierzchników. Jedni z bojaźni prześladowa-

nia, drudzy dla usłania sobie drogi w spodziewanym nowym porządku, wielu z czystego patriotyzmu, łączyło się z obywatelami. Donosili oni im, co się działo między Niemcami, a do biur wróciwszy, wyzebranych u obywateli wieści udzielali z pewnym rodzajem łaski tym, których niedawno byli podwładnymi. Napelniony też był Lublin, jak każde miasto rozmaitego rodzaju próżniaczą i na grze i rozpuście marnotrawiącą na bruku czas młodzieżą. Między nią wielu było jeszcze z rewolucyi Kościuszki, z wojska i cywilności rozbitków, równie jak z konfederacyi targowickiej, ohydzonych, wprawdzie u dobrych Polaków lecz sposobem życia w jedno ogniwo połączonych próżniaków. Ci, przybrawszy płaszczy patriotyzmu, jedni od drugich kolejną protegowani, wypierali się samych siebie i z wystudzonym z miłości kraju i cnoty sercem zabiegali u obywateli za swoim znaczeniem. Na czele obywatelstwa lubelskiego znajdowało się wtedy dwóch mężów prawych, i zacnych, których powszechnie poważanie i wziętość otaczały. Franciszek Grabowski, za czasów dawnej Polski podkomorzy i podstarosta krasnostawski, za Księstwa Warszawskiego radca stanu, a za nowego królestwa senator wojewoda i Joachim Owidzki, dziedzic Jabłonny, siostrzeniec Wybieckiego, wychowaniec i ulubieniec Andrzeja ordynata Zamoyskiego, ekskanclerza wielkiego koronnego, pełnomocny zarządca ordynacyi Zamoyskich u wdowy pozostałej Konstancyi z książąt Czartoryskich z linii Koreckiej, mąż oświecony, prawy, gorący patriota, długiem mieszkaniem pod rządem austryackim w Zamościu z systematem rządu oswojo-

ny i obszerne związki z urzędnikami austriackimi mający. Był on przyjacielem barona Mandorfa, będącego w owej chwili kreiskapitanem cyrkulu lubelskiego, człowieka zacnego, łagodnego, sprawiedliwego, na którego zwierzchnicze rządy nie mieli obywatele przyczyny się użalać. Lecz Mandorf acz nie miał sobie nic do wyrzucenia, lękał się o swoją rodzinę a nawet o siebie, aby obcy narodowi, a zatem Niemcy, za krzywdy przez rząd jego wyrażone Polakom, nie został ofiarą nienawiści. Te obawy powierzył ze łzami sędziwy starzec Owidzkiemu a zaręczeniem jego charakteru zaspokojony, pozostał na miejscu. Taki był stan Lublina w owej niespodzianej i ważnej chwili, gdy czterech ułanów polskich ukazało się na Krakowskim Przedmieściu, którzy otoczeni zbiegowiskiem ludu przebiegłszy miasto i ujrawszy się bezpiecznymi, stanęli przed domem prezydenta miasta i wezwali go, aby się udał do pułkownika już stojącego przed miastem. Tym pułkownikiem był Dziewanowski, żołnierz z legionów waleczny, po części literat, człowiek prawy, lecz z charakteru nieco kapryśny i obraźliwy. Do niego więc na czele deputacyi miejskiej wyszedł prezydent miasta niejaki Władych, Niemiec z rodu, niedawno urzędnik sądowy, mający w mieście posiadłość pó żonie Polce i mówiący zrozumiale po polsku. Ten, składając pułkownikowi klucze miasta, wśród zaręczenia, że wojsko bezpiecznie do miasta wejść może, upraszał o bezpieczeństwo dla własności i mieszkańców. Obraził się tem Dziewanowski i odrzekł do niego z żywością: „Znać że nie jesteś Polakiem; gdyby do mnie wyszedł był rodak,

podałby mi rękę i uścisnęlibyśmy się nawzajem. Wiedz, że nie przychodzimy łupić waszych własności, lecz odbierać naszą, nie idziemy ciemiężyć ziomków, lecz ich z pod waszego jarzma uwolnić. Idź i powiedz twoim rodakom, że mogą bezpieczni zostać w mieście. Włos im z głowy nie spadnie. Lecz biada tym, którzyby się nie wyrzekli z nieprzyjaciółmi naszymi stosunków i chcieli szkodzić Polakom. Obejmuję ten kraj w imieniu Napoleona, który w tej chwili panuje z Wiednia". Błady prezydent powrócił do miasta, a nim mógł udzielić wiadomości swoim współpracownikom, Dziewanowski z pułkiem swoim wszedł na Krakowskie Przedmieście wśród ludu okrzyków. Szczególny to był widok spozierać na wszystkie okna i balkony, napelnione kobietami, które powiewały chustkami i wchodzące wojsko wiwatami witały, a między niemi córki i żony obcych urzędników, za którymi kryli się smutni ojcowie i mężowie. Dziewanowski już miał listę osób udzieloną sobie przez Roźnieckiego i wezwał obranych obywateli do zasiadania w urzędzie obok zatrzymanych urzędników niemieckich. Grabowski podkomorzy, X. Józef Koźmian, Joachim Owidzki, ja i brat mój Wincenty, przydani zostaliśmy do zwierzchności cyrkularnej. Dziewanowski ruszył zaraz ku Zamościowi, zapowiadawszy przybycie głównego korpusu księcia Józefa Poniatowskiego. Jakoż w kilka dni zbliżył się ten korpus dwoma traktami, to jest od Markuszewa i Lubartowa. Wspomnieć muszę, jaka jest w ludzie wiejskim miłość i przywiązanie do ziomków. Pod Lubartowem orało kilkadziesiąt pługów na niwie, około której

traktem przechodziły wojska polskie z muzyką i śpiewem marszu Dąbrowskiego. Nagle to i niespodziewane widowisko, zwłaszcza, gdy oracze usłyszeli mowę polską i ujrzeli barwy narodowe, w takie uniesienie wprawili orzących, że wszyscy parobcy porzucili pługi i wmieszali się dobrowolnie w szeregi narodowe i tak z przypiętymi gałązkami do miasta radośnie weszli i wszyscy z własnej ochoty zaciągnęli się. Coś podobnego trafiło się przed paru laty w Bełżycach, w miasteczku na trakcie krakowskim położonem. W r. 1806 w kampanii między Napoleonem a Prusami, kilku zbiegów francuzkich ukazało się w tem mieście. Wieśniacy, zgromadzeni na targ, odpoczywającym w gospodzie ciekawie się przypatrywali, a gdy się dowiedzieli od żyda, że to są Francuzi, i że idą pieszo ku Lwowu, nietylko ich uczęstowali, lecz własnymi furmankami odstawili do Kraśnika.

Za parę dni wkroczył książę Józef Poniatowski ze swoim szczyplym korpusem do miasta. Radość i uniesienie mieszkańców nie dały spostrzedz sił drobnych. Więcej patrzano na barwy narodowe, na postacie i ubiory, niż na liczbę. Rozważniejsi atoli dostrzegli jej, a choć nie stygli na duchu, uczyli konieczność najspieszniejszego zbrojenia się. Wieści puszczone, że dywizya Sokolnickiego obróciła się drugą stroną Wisły ku Sandomierzowi, że inny oddział inną drogą posuwa się ku Zamościowi, że Zajączek pod Jedlińskiem zachodzi drogę arcyksięciu cofającemu się z Warszawy ku Wiedniowi, do którego już wszedł Napoleon, krzepiły umysły; wszyscy jednak czuli, że los tej prowincyi

i wojska polskiego zawisł jedynie od oręża Napoleona w Wiedniu. Stały też wojska rosyjskie nad Bugiem pod komendą generała Gorczakowa. Książę Józef wysłał do generała rosyjskiego gońca w celu porozumienia się o wspólne działanie, lubo wolał być i pragnął niepotrzebować tej pomocy. Miasto i obywatele dali wielki bal dla wodza w domu na Korcach. Książę Józef zaszczycił go obecnością swoją, był uprzejmy, wesół. Zaczął bal nie pomnę z jaką Niemką, tańczył z kilkoma, co już do reszty zawróciło młodym Niemkom głowy. Niemieccy urzędnicy mieli ten takt, że nie byli.

Nazajutrz wszyscy dodani urzędnicy Polacy i wielu obywateli udało się do kwatery księcia. Gdy wszedł do nas, wystąpił do niego w dawnym ubiorze i mundurze polskim województwa lubelskiego, Józef Podhorodeński, mieszkający w Pilszczynie pod Lublinem, dawny mecenas trybunału a pod ten czas ziemianin i właściciel kilku wiosek. Ten, zabrawszy głos, rzekł do księcia: „Odzyskujemy ojczyznę do której wdychaliśmy, wszyscy wszystko winniśmy dla niej poświęcić. Racz W. Książęca Mość przyjąć odemnie dla niej 150 jeźdźców z końmi, których natychmiast własnym kosztem wystawię. Nie chcę żadnego stopnia. Dozwól tylko, Książę, abym przy boku jego, jako ochotnik, osobą moją mógł walczyć“. Uścisnął księżę Podhorodeńskiego, a wśród oddanej sprawiedliwości patriotyzmowi dodał: „Będziemy mieli ojczyznę skoro mamy takich obywateli“. Następnie Joachim Owidzki oświadczywszy imieniem rodaków gotowość do wszelkich ofiar, gdy rzekł: „Powołamy wszystkich

mieszkańców do broni, cała ludność pochwyli kosy i piki i wesprzemy wojsko“, na to książę odpowiedział: „Buduję się z zapalu, lecz mamy skuteczniejszą broń niż kosy i piki, mając Napoleona i jego potęgę, on nie lubi tego rodzaju powstania, nie wzmiankujecie więc panowie o niem, zbrojmy się regularnie, skwapliwie, ale bez gwałtownych wzruszeń. General Hebdowski szef mego sztabu, którego zostawiam, objawi panom moje żądania. Przez niego będziem wiedzieć o sobie“. Żegnając nas uprzejmie obrócił się do Owidzkiego i mnie i rzekł: „Proszę Panów za sobą“. Gdybyśmy się sami z nim znaleźli w jego pokoju, tak się do nas odezwał: „Nie zawiodłem się na duchu mieszkańców województwa lubelskiego, nie zawiodę się na patryotyzmie całej Galicyi, z którego pomocą mam nadzieję ją oswobodzić. Lecz, chcąc wywiązać się zacnym i szlachetnym mieszkańcom tego kraju, uchybiłbym honorowi i charakterowi memu, gdybym z całą otwartością żołnierza z nimi nie postąpił i cokolwiek przed nimi ukrywał. Dam więc dowód ufności w ten patryotyzm, z którego się buduję i niczego przed panami nie zataję. Wyznam więc bardzo szczerze, że wojsko moje jest nieliczne i słabe. Na hazard rzuciłem się w Galicyę. Arcyksiążę Ferdynand jest mocny. Los nasz zawisł od powodzenia cesarza. Nie mam pewnej wiadomości o nowej bitwie pod Wiedniem, lecz wnoszę że arcyksiążę cofnie się z Księstwa Warszawskiego bądź dla ratowania Galicyi, bądź dla wsparcia głównej armii. Cofając się czyli z rozkazu, czy z planu, może zaczepić o Galicyę, może przejść przez Wisłę. W ra-

zie tego chwilowego wypadku cierpiałbym i wyrzucałbym sobie, gdybym tak gorliwych obywateli naraził na pomstę. Z tej przyczyny życzę unikać wszystkich nadzwyczajnych zapalów, robić wszystko skwapliwie, lecz jakby z przymusu. Dla tego wszystkie moje rozkazy, wszystkie nominacje kazałem wydawać pod groźbą śmierci, abyście się w razie chwilowego nieszczęścia mieli czem złożyć i bronić. Unikajcie i niedozwalajcie prześladowania Niemców, pomnąc, że mają u siebie naszych zakładników w Warszawie. Mówię do obywateli oświeconych i do dobrych Polaków. Raczcie zachować moje wyznanie w tajemnicy, aby wyjawienie nie ostudziło ducha. Kierujcie niem tak, aby nie ustawał, a na przygody jak najmniej osoby narażał. To wyznanie księcia, tak szlachetne, powiększyło w nas uwielbienie dla niego. Owidzki niem się zasnuć, lecz wkrótce ducha nabrał, ufając w gwiazdę Napoleona, wierząc ślepo w rozsiewane najniepodobniejsze wieści, nakoniec w ostatni ratunek udania się do Rosyi pod opiekę sprzymierzonego z Napoleonem wojska.

Wyszedł książę Józef ku Zamościowi. Na szpicy jego wojska jechał obywatel Podhorodeński w ponsowym kontuszu z złocistą ładownicą przez piersi. Pułkownik Nowicki, jadący obok księcia rzekł: „To jest szlachcic, waryat. Jak rak czerwony w kontuszu. Pierwsza kula z fortecy zabije go“. „Mój kochany (rzekł książę), gdybyśmy mieli więcej takich waryatów, Polska by stała“. W istocie samej, ten Podhorodeński był człowiek prawy, śmiały w mówieniu prawdy, obywatel rządny, gorliwy

Polak, serce miał szlachetne, lecz głowę nieco zamęttem rażoną.

Po upływie dni kilku napełniły Lublin radością wiadomości od wojska i z Warszawy. Arcyksiąże Ferdynand opuścił stolicę Księstwa, a rząd polski z Torunia wrócił do niej. Zamość szturmem wzięty. Ułatwił jego wzięcie Domański, rządca ordynacyi, przystawieniem drabin. Pułkownik Pulsky bronił się walecznie, lecz garnizon, złożony z samych prawie rekrutów galicyjskich, do 3,000 wynoszący, rozstawiony na wałach, gdy ujrzał Polaków, wdzierających się na mury, podawał im bagnety i wciągał do fortecy. Pulsky, raniony, poddać się musiał. Sandomierz zdobyty został przez generała Sokolnicogo, nie bez straty, bo legł książę Marceli Lubomirski, waleczny młodzieniec. Pułkownik Strzyżewski zapędził się pod Jarosław, zdobył niezmiernie zapasy ubiorów wojskowych, miedzi i żelaza. Generał Roźniecki wszedł do Lwowa i rząd polski zaprowadził. Wśród tych pomyślności zbiegli się do Lwowa wszyscy znakomitsi obywatele wschodniej Galicyi, Stanisław ordynat Zamoyski, Henryk Lubomirski, Tarnowski, Lewicki i innych wielu. Książę Józef, widząc się panem Galicyi, objął ją w imieniu Napoleona i rząd dla niej centralny ustanowił z Stanisława Zamoyskiego, jako prezesa, Lewickiego, Dzierżkowskiego, Józefa Wielhorskiego, Miączyńskiego, Matusewicza, Franciszka Grabowskiego, Jana Tarnowskiego i do spraw duchownych księdza Józefa Koźmiana, podówczas scholastyka lubelskiego, przeznaczył, do pomocy dodano im Dąbskiego, Orzechowskiego, Fredrę i innych, a na se-

kretarzy Maksymiljana Lewickiego i Izzydora Piotruskiego, młodzieńca znakomitych talentów i zdolności. Przyznać trzeba, że ten wybór był jeden z najlepszych, bo powołał do władzy mężów najznakomitszych patriotyzmem, enotą, światłem i powszechną u ziomków wziętością. Rząd ten natychmiast przystąpił do obsadzenia cyrkułów prawymi i zdolnymi obywatelami i ich wybór zupełnie odpowiadał dobru rzeczy publicznej. Na wstępie rozkazano wszędzie zbijać lub zdejmować orły austriackie, a na znak, że ten kraj podchodzi pod władzę Napoleona, polecono zawieszać orły francuskie. Wszędzie odbywały się nabożeństwa i uroczystości. W Lublinie prawie niepodobieństwem było zbierać tak prędko orla z gipsu wyrobionego, na facyacie ratusza w rynku, zbyt wysoko umieszczonego. Zbyt trudno i zbyt kosztownie było budować rusztowanie. Znalazł się ochotnik z czeladzi rzemieślniczej, chłopiec czternastoletni, który z młotkiem i oskardą w ręku dał się uwiązać pod pachy i w pół na postrońku trzymany przez kilkunastu ludzi, unosił się w powietrzu z niebezpieczeństwem życia. Przez dwie godziny pót kował austriackie znamię, póki go zupełnie nie zgładził i na jego miejsce orla francuskiego z poklaskiem przypatrującego się ludu nie zawiesił. Dnia tego był wielki obiad u generała Hebdowskiego, na którym czytałem odę moją, prawie w kilka godzin napisaną. Są w niej błędy pośpiechu, lecz czytanie to zrobiło niejaki wrażenie. Generał Hebdowski, był znawcą i miłośnikiem literatury. Posłał tę odę rządowi centralnemu do Lwowa. Wtedy przytomny Stanisław Małachowski,

potem generał i kasztelan szukał ze mną znajomości, sam z kilku uprzejmymi słowami przystąpił do mnie i odtąd zawiązała się między nami 40-letnia niezachwiana przyjaźń. Odebrał moją odę rząd centralny we Lwowie, lecz *inter arma silent musae*. Byłaby może dotąd nie widziała świata i możebym następnych po niej nie pisał, gdyby szczęśliwym wydarzeniem nie była wpadła w ręce Józefowi Dzierzkowskiemu, znakomitemu literatowi, znawcy i miłośnikowi poezji. On, przerzucając korespondenecy rządowe, znalazł ją, a przeczytawszy wniósł na posiedzenie rządu i przedeklamował. Usta więc jego rozślawiły ją. Posłano ją do głównej kwatery księcia Józefa. Tam przyjętą była dobrze, czytana i powtarzana w strofach przez młodych oficerów, nareszcie prezes rządu centralnego drukiem ją ogłosić kazał.

Po mnie napisał na tę samą uroczystość jak ja Lublinianin, Antoni Wybranowski, wiersze, które miały w sobie ten koncept: „Iż to nie jest orzeł francuski lecz polski, pióra tylko białe na złote odmienił”. Doświadczyłem więc tego upokorzenia w Lublinie, że unoszono się nad temi wierszami jako celującymi dowcipem.

Generał Hebdowski po tej uroczystości gorliwie zajął się powiększeniem wojska, wyborem rekrutów, uzbrojeniem, umundurowaniem i dostawą. Zły wybór zrobił na urząd ordynatora siły zbrojnej w osobie niejakiego Romana podpułkownika, rodem z ciechanowskiej ziemi i legionisty. Przesiąkły tem wszystkim czego się u Francuzów natrzymał, stał się nader uciążliwym dla obywateli; brakując konie

ludzi i broń, którą według wydanego wzoru skwapliwie dostawiono, spóźniał uzbrojenia i dopiero te postępować zaczęły, gdy odgadnięto sekret istotnych jego wymagań. Ugadzano się więc z nim na gotowe pieniądze, a tak nie tylko się zapelnily szeregi, ale i jego szkatuła. Generał Hebdowski acz sam uczciwy człowiek, wiedział o tem i pobłażał, a skarżącym się odpowiadał, iż ten sposób jest pośpieszniejszy, dogodniejszy wojsku i zapewniający mu jednostajność, która w niem zachowaną być musi. Po dwóch lub trzech tygodniach spokojności, nagle przerażony został Lublin smutnymi wieściami. Wojska austriackie, które opuściły Lwów, zebrawszy się w znaczny korpus przez posiłki z Węgier, Bukowiny i ściągawszy nadgraniczne regimenta, znowu się pod stolicę Galicyi posunęły. Wojsko polskie, nierównie słabsze, cofnęło się, rząd centralny usunął się do Żółkwi. Książę Józef Poniatowski, łącząc w jedną siłę wszystkie swoje oddziały, obróciwszy drogę na Jarosław zajął stanowisko między Sanem a Wisłą; arcyksiążę Ferdynand, opuściwszy Księstwo Warszawskie, zbliżył się do lewego brzegu Wisły i zamierzył odzyskać zdobyty Sandomierz. Forpoczty jego ukazały się nad Wisłą, pod Puławami i wystrzały ich się sięgały okien pałacu. Była to chwila, w której po zerwaniu mostów na Dunaju pod Wiedniem, Napoleon prawie zamknięty na wyspach odnogami tej rzeki, trudnił się urządzeniem nowej przeprawy i do nowej bitwy w kilkunastodniowym spoczynku przygotowywał się.— Z tej przyczyny przestraszał ogarnął Lublin. Generał Hebdowski w następstwie księcia zostawiony

tail te wypadki, które jednak ukrytemi być niemo-
 gły i z całą kancelaryą w cichości wybierał się
 do obozu księcia, tylko prezesowi Owidzkiemu
 i mnie zwierzywszy się z swych zamiarów. Lecz
 tej samej nocy, w której gotował się do wyjazdu
 odebrał z Puław wiadomość, że arcyksiążę Ferdynand
 obrócił się z rozdzieloną siłą, jedną częścią
 pod Sandomierz, drugą ku Krakowu i oczekiwał
 w powolnym pochodzie rozkazów z Wiednia, od
 którego już był odcięty. Hebdowski więc został,
 wkrótce cały rząd centralny do Lublina zjechał
 i urzędowanie rozpoczął. W Lublinie więc skupiła
 się cała najwyższa władza Galicyi zachodniej. Uzbrow-
 jenie dalsze objął generał Wielhorski, członek cen-
 tralnego rządu, człowiek prawy, gorliwy, żywego
 i energicznego charakteru i mimo złamanego pedo-
 grą zdrowia, czynny a razem poufały księcia Józe-
 fa przyjaciół. Zaraz więc przed nim ugiąć się mu-
 siała władza ordynatorów, inspektorów, magazynie-
 rów i t. d. Generał Hebdowski pozostał w Lubli-
 nie i znosił się z generałem Wielhorskim i z rządem
 księstwa.

Ten rząd skoro wrócił z Torunia do Warsza-
 wy dla powzięcia wiadomości o Galicyi przez księ-
 cia Józefa zajętej, nieustannie wysyłał swoich ajentów
 do Lublina, dla wybadania ducha mieszkańców
 i rządu. Nie zbywało na ochotnikach do niej, bo im
 się fatyga dyetami płaciła. Ci emisaryusze mordow-
 wali nas rozmaitemi zapytaniem, przynosili proje-
 kta reorganizacyi, jeszcze zawczesnej przed roz-
 strzygnięciem losów kraju. Jeden z nich, Karol
 Wojda, podówczas referendarz w radzie stanu, czło-

wiek oświecony i rozsądny po krótkiej ze mną rozmowie, uznał misję swoją za niepotrzebną, przekonał się, że właściwiej będzie zostawić rzeczy *in statu quo* i zaraz odjechał. Przybył potem, w tym samym celu Józef Kalasanty Szaniawski, prokurator Księstwa Warszawskiego. Tego nie mogliśmy pojąć czego chciał; pofilozofowawszy z kilku znajomymi osądził nas zapewne za mało obznajomionych z filozofią Kanta i odjechał. Lecz wkrótce inna misya najgorsze wyprowadziła skutki. Po zdobyciu Sandomierza przez wojsko arcyksięcia Ferdynanda, książę Józef pod Trześnią, ściśniony i prawie oblężony w oczekiwaniu wypadków pod Wiedniem bronił się walecznie, lecz nakoniec uczuł potrzebę pomocy wojsk rosyjskich i posyłał kuryera za kuryerem nad Bug, do księcia Gorczakowa, przynaglając jego wkroczenie do Galicyi. Książę Gorczakow, pod rozmaitemi pozorami spóźniał je, a jako najgłówniejszą przyczynę spóźnienia podawał brak zapewnionej żywności dla swego korpusu i magazynów, których niebyło, a bez których jak twierdził, nie mógł się z 30-tysięcznym korpusem ruszyć. Książę Józef nie wiem dla czego wezwał rząd Księstwa Warszawskiego, aby mu na intendenta armii przysłał urzędnika zdolnego i energicznego. Właściwiej było wezwać o to rząd centralny. Wybór padł na człowieka zdolnego wszystko zamącić wszystkich obrazić. Mówić mam o R..... prefekcie Płockim. Ten jako urzędnik zdatny i energiczny jak człowiek, dumny, zarozumiały, w całej postaci swojej nosił znamiona tych wad. Mianowany pełnomocnym intendencem armii z władzą nieo-

graniczoną, ledwie stanął w Lublinie zaraz na koszt miasta, już ofiarami i przechodami wojsk zubożalego zajął najobszerniejszy dom na rynku, nadto wszystkie sobie wygody dostarczać, a 10 czerwonych złotych dziennie dyet wypłacać sobie kazał. Urzędników miejskich i ziemskich wezwał, aby mu się przedstawili i o nieograniczonej władzy swojej zawiadomił. Zdziwiła nas ta przywłaszczona powaga obok rządu centralnego postanowionego przez księcia w imieniu cesarza Napoleona, zwłaszcza, że pan intendent mniej się zajmował urządzeniem magazynów, jak uorganizowaniem władz rządowych. Zapowiedziawszy je zamówił posiedzenie publiczne, a we wszystkich pismach i rozmowach dumą i opryskliwością obrażał dając czuć prawo, a przynajmniej pretensję Księstwa Warszawskiego, do primogenitury, do starszeństwa i do wyższości nad prowincją Galicyjską. Przyszedł na posiedzenie komisji lubelskiej w ubiorze prefekta z szarfą przez piersi, z przygotowanym projektem organizacyi i z mową, której dumnymi i niezręcznymi wyrazami obrazil wszystkich urzędników narodowych, a Niemców tak przeraził, iż ci natychmiast miejsca swoje porzucili i o paszporty upraszali. Niedługo trwała jego misya. Rząd centralny, a szczególnie prezes ordynat Zamoycki, uczuł obrażoną swoją godność, udał się osobiście do głównej kwatery, księcia pod Trześnią, przedstawił mu całą szkodliwość tego rodzaju kolizyi i uzyskał ograniczenie jego nadużyć. Rozkazano mu we wszystkim znosić się z centralnym rządem, nie mieszać się do jego urzędzeń, i nie pozostać w Lublinie, tylko do chwili przechodu wojsk.

rosyjskich; jakoż wkrótce książę Gorczakow zmienionym został, objął dowództwo korpusu książę Galiczin, wszedł zaraz do Galicyi dwoma traktami na Lwów i Lublin, misya pana intendenta skończyła się i odjechał do Warszawy. Będę jeszcze w sposobności mówienia o tym zdatnym, lecz mało lubionym urzędniku w innym czasie i w innych okolicznościach; tu tylko wspomnę, że jego postępowanie nie uczyniło dobrego uprzedzenia o duchu i szlachetności rządowych osób Księstwa Warszawskiego na umysłach współziomków, którzy o swoim wydatku wśród ofiar służyli krajowi i wzdrygali się być płatnymi za swoje trudy. Nie tyle nieszczęśliwy wybór uczynił książę Józef, wzywając do swojej przybocznej cywilnej kancelaryi Andrzeja Horodyskiego, Galicyanina, zamieszkałego w Warszawie, wychowanego w szkołach niemieckich, dobrze obznajomionego z duchem i porządkiem austriackiego rządu, człowieka oświeconego, umiarkowanego i dobrze wychowanego. On jako sekretarz księcia, sprawujący obowiązki wyręczyciela w urządzeniach cywilnych, w których książę był obcym, a nawet oddawać się im jako wódz w czasie wojny niemógł, nie nadużywał ufności księcia, zachowywał się z prawością i z miarą. Dobrze znajomy członkom centralnego rządu galicyjskiego, równie jak członkom rządu Księstwa Warszawskiego, umiał z przyzwoitością utrzymywać związki między księciem a dwoma rządami, bez obrażania niczyjej miłości własnej. Arcyksiążę Ferdynand, odzyskawszy Sandomierz zaczął naciskać na obóz polski, z obóch stron Wisły, lecz ukazanie się forpocztów rosyjskich

nad Wisłą i posunięcie się księcia Galiczina ku Lwowu, zmieniło postać rzeczy; cofnął się w stronę Krakowa, a książę Józef wszedł do Galicji w 5000 wojska; gdy zebrał wszystkie siły, liczył do 20,000 gdyż uzbrojenie szło szybko i powiększało się ofiarami. Ordynat Zamoyski ofiarował i wystawił pułk piechoty; takż pułk swoim kosztem uzbroił książę Konstanty Czartoryski i innych wielu obywateli, jak Małachowski, Podchoroński, dali szwadrony. Nie doszła mnie wiadomość, aby Wielkopolska więksemi ofiarami zawstydzila Galicję.

W czasie oblężenia Sandomierza wydarzył się wypadek, który tu opiszę, dla nauki i przestrogi młodych oficerów, którzy częstokroć nie opaczną płochością, pozwalają sobie niewczesnego i nie w miejscu żartobliwego dowcipkowania. Niejaki Zabielski, dobry szlachcic polski, w szkołach austriackich wykształcony, był sekretarzem w rządzie cyrkularnym lubelskim; młody, przystojny, poznał piękną i w kwiecie życia będącą panią w Jastkowie pod Lublinem mieszkającą, u krewnych swoich Głuskich, słusznych i miernie majątnych obywateli i ożenił się z nią. Po ożenieniu przeniesiony został na lepszą pensją i urząd; nie pomnę czy na komisarza delegowanego, czy na burmistrza do Ostrowa, miasteczka za Wisłą, dziedzicznego pana Dobrzańskiego. Tam szczęśliwy z młodą żoną sprawował ten urząd z prawością, zdolnością i szczególną wziętością i przyjaźnią zjednał sobie u garnizonu austriackiego i pułkownika, stojącego w tem mieście przed rokiem 1809. W tym roku arcy-książę Ferdynand ruszył ze swoim korpusem, regiment stojący

w Ostrowiu, pociągnął za nim. Wkrótce po rzuce-
niu się księcia Józefa w Galicyę, nadciągnęła część
wojska polskiego, dążąca na oblężenie Sandomie-
rza; przyjął ją Zabielski jako Polak, z radością
i wszystkie żądania i rozkazy wypełniał i ułatwiał.
Dowodzący tym oddziałem, dał mu rozkaz na piśmie
pod groźbą kary i zemsty, aby w razie wiadomości
o Austryjakach lub pokazania się ich pod miastem
lub w mieście jeżeliby byli w większej sile, doniósł
natychmiast do wojska polskiego, pod Sandomierz;
jeżeliby zaś w małej nadeszli liczbie, aby za pomo-
cą mieszkańców rozbroił ich i do najbliższej kome-
ndy odstawił. Zdarzyło się, iż trzech, czy czterech
huzarów austryjackich ukazało się w rynku miasta,
żądając furazu i wiadomości, o sile i obrotach woj-
ska polskiego. Zabielski nie długo się namyślał,
wykonał rozkaz polskiego dowódcy i rozbrojonych
huzarów pod Sandomierz odesłał. W kilka tygodni
korpus arcy-księcia Ferdynanda, opuszczając Księ-
stwo, dążył ku Sandomierzowi. Ten sam pułk au-
stryjacki i ten sam pułkownik, przyjaciel Zabiels-
kiego, stanął w Ostrowie. Przywitanie było przy-
jacielskie; wkrótce i generał nadciągnął i obozem
się rozłożył. Drugiego dnia spostrzegł Zabielski
zmianę na twarzach swoich gości; kiedy się zaczął
domyślać przyczyny, pułkownik wziął go na stronę
i ręce załamując, te do niego rzekł słowa: „Mógł-
żeś takiej dopuścić się zbrodni? Jak to, urzędnik
cesarza, przysięgły, śmiałeś rozbrajać i wiązać żoł-
nierzy cesarskich i odesłać do Polaków, czemużeś
tu pozostał? czemużeś nie uszedł, gdyśmy nadcho-
dzili, zgubiłeś siebie i żonę. Generał i całe wojsko

już wie o tej niegodziwości, a może i sam arcyksiąże już został zawiadomiony. Ja co chwila oczekuję rozkazu aresztowania ciebie; nacóżes siebie i przyjaciela wystawił. Wierni nasi posługacze, żyd-kowie już wszystko donieśli, jakież więc możesz mieć środki ku twojej obronie?" Tłumaczył się Zabielski bojaźnią, przemocą, surowością rozkazu. Pułkownik nie przyaresztował go, lecz straż nad nim rozciągnąć kazał. Tegoż dnia wyznaczył generał komisję do wykrycia prawdy, a po krótkiej indagacyi okuto go w kajdany i sąd wojskowy wyznaczony został, przed który bez zwłoki go stawiono. Gdy to ujrzała młoda i przywiązana żona, w rozpacz, nie słuchając tylko głosu żalu i trwogi o życie męża, tak, jak stała, w rannym ubiorze, wybiegła na ulicę i wśród płacznego łkania, biegła jak obłąkana, gdzie ją rozpacz niosła, biegła ku Sandomierzowi do obozu polskiego, po wstawienie się i ratunek od księcia Józefa. Częścią pieszo, częścią na wozach wiejskich o głodzie, dostała się do obozu i przedarła się do kwatery księcia. Tu opowiem rzecz jej słowy, które sam od niej słyszałem i czytałem w opisanu jej męża, który po różnych kolejach wróciwszy do kraju tę swoją historję, mogącą dostarczyć treści na smutny romans opisał i mnie do przeczytania udzielił. „Stanęłam”, mówiła ta nieszczęśliwa kobieta, w „przedpokoju księcia,” napelniając płaczem i jękiem kwaterę jego. Rzuciwszy okiem na grono młodych oficerów, którzy mogli mnie pbczytać za szaloną, dopiero spostrzegłam w jakim jestem nieładzie. Po zapytaniu, kto jestem? i czego żądam? gdy wśród łkania opowiedziałam

moją niedolę, zdawali się wszyscy brać udział w mojem nieszczęściu; jeden z oficerów, zdaje mi się kapitan Bleszyński, pobiegł do księcia. Książę niebawem wyszedł; rzuciłam mu się pod nogi i błagałam o ratunek; mocno wzruszony moją rozpaczą rzekł: „Cóż ja mogę ci pomódz, biedna kobieto! zrobię wszystko co mi możność dozwoli, poślę natychmiast do arcy-księcia z błaganem, ofiarować mu będę kilku oficerów austryjackich, których między jeńcami mam w niewoli, może go wzruszę i wyjednam uwolnienie, uspokój się moja pani i miej w Bogu nadzieję;” i zaraz kazał wygotować ekspedycyą, dodając: „napiszę jeszcze prywatnie do arcy-księcia”. Potem, rzuciwszy na mnie okiem, rzekł: „ale w jakimże jesteś stanie? sama, młoda, w jednym ubiorze i, dostawszy 50 dukatów—proszę, przyjmij to od rodaka, każę myśleć o twoich wygodach; będziesz je mieć wraz z wszelkiem poszanowaniem, które ci należy; i jednemu z starszych oficerów oddawszy mnie w opiekę, rzekł: „proszę, aby ta pani miała dobre umieszczenie u jakiej przyzwoitej gospodyni, proszę je ugodzić, a ja wszystko zapłacę; z mojego stołu posyłać wszystko” i z dobrocią szlachetnej twarzy, która nigdy z mojej pamięci nie wyjdzie, pożegnał mnie. Przytomni oficerowie, z całą przyzwoitością zajęli się moim losem, podając mi siedzenie, abym spoczęła, póki dom wynaleziony nie będzie; jeden tylko niski, gruby, trochę zająkający się, średniego wieku wojskowy, (dowiedziałam się później, że nim był Pułkownik Nowicki), przystąpiwszy z uśmiechem do płaczącej rzekł: „otrzyj pani łzy, jesteś młoda, przystojna, masz tu grono pięknych oficerów, mo-

żesz się pokosolować z nami” na te jego słowa
ły mi oschły na żrenicach, stanęłam jak kamień
i taką uczulam w sobie moc pogardy i obruszenia,
iż, gdybym miała nóż lub sztylet w rękę, miałabym
była dość siły utopić go w piersiach niecnego żar-
townika, który śmiał się z taką bezczelną płoch-
ścią z mego nieszczęścia natrzasać. Nie pomnę, co
odpowiedziałam, lecz w duszy pomyślałam: „Bóg
zemści się za biedną sierotę”. I niestety! zemścił
się, choć późno, *venit poena pede claudo*. Ten sam
Nowicki, generał w wojsku polskim za królestwa
kongresowego, najniewinniej nieszczęśliwym przy-
padkiem zginął w nocy 30 Listopada 1830 roku.
Niechże czerpią ztąd przestrogę, naukę wszelkiego
rodzaju i wieku żartownisie, którzy często z nałogu
bez udziału serca nie mogą wstrzymać na języku,
czasem złośliwego, a zawsze jałowego dowcipkowa-
nia, tam nawet, gdzie prawemu człowiekowi ły
i smutek przystoją. Gdy się to działo w Trześni,
w Ostrowie wyznaczony sąd wojskowy na Zabielskiego
skazał go na śmierć przez rozstrzelanie; już
go kapłan przygotował, już go pod karabinami pro-
wadzono na plac, gdy ujrzał cały korpus oficerów,
idących z pułkownikiem na czele, do namiotu ge-
nerała? wstąpiła na ten widok w serce jego nadzie-
ja, lecz, gdy mu zawiązano oczy i klęknąć kazano,
już niemyślnej śmierci oczekiwał, gdy w tem usłyszał
nagle słowo *pardon* i po rozwiązaniu sobie oczów
ujrzał na spienionym koniu oficera, który zmianę
wyroku mu przeczytał. Generał zmienił wyrok śmier-
ci na dożgonną służbę prostego żołnierza w wojsku
austryjackiem. Wkrótce, ubrany w mundur, przed-

stawiony został pułkownikowi, a ten go uściskawszy rzekł: „Niezatrważaj się swoim losem, będziesz w moim pułku, osłodzę ci twoje położenie będziesz moim domownikiem, umiesz dobrze po niemiecku, przyłączam cię do mojej kancelaryi”. Pociuszająca w tem miejscu z jednej strony z drugiej smutna ciśnie się na umysł uwaga. Wszędzie między ludźmi u nieprzyjaciół nawet, można znaleźć serca zacne szlachetne i wspaniałomyślne. Zaszczycem jest dla ludzkości takie serce, jakie się okazało w pułkowniku austryackim dla Zabielskiego; czemuż i jego nieszczęśliwa żona takiego współczucia nie napotkała w rodaku. I my jednak takiej szlachetności zdolni, a książę Józef w zacnym postępku swoim względem Zabielskiej dał wzór, w który niech się młodzież wpatruje i niech się uczy hamować płochosć charakteru, właściwą Polakom, pamięcią i względami na moralność.

Nie w samym pułkowniku austryackim znalazł Zabielski szlachetną nad swoim losem litość: doświadczył jej wkrótce w sercu pod grubą włoscia-nina węgierskiego szatą bijącym. Pułk ten po opuszczeniu Krakowa, podążył pod Wiedeń; po bitwie pod Wagram i po nastąpiem zawieszeniu broni, rozstawiony został w Węgrzech pod Pesztem. Lubo Zabielski miał w pułkowniku opiekuna i przyjaciela, przecież dręczony tęsknotą do żony, bez wiadomości od niej, smutny był, wzdychał i płakał. Spozstrzegł to gospodarz domu, w którym stał na kwarterze i zapytał się go z ubolewaniem o przyczynę. „Po cóż mam wyjawic moją dolę, jestem najnie-szczęśliwszym człowiekiem, nikt na ziemi nie pomo-

że mi, chyba Bóg jeden.” Wieśniak na to odrzekł: „Nie prosta ciekawość mnie wiedzie, lecz powiercie mi się, może ja biedny człowiek biednemu pomogę.” Ośmielony Zabielski powierzył historię swego nieszczęścia włościaninowi, z pochwałą i z wdzięcznością dla pułkownika. Włościanin się zamyślił i nie odrzekł; lecz uważał Zabielski, iż przez parę dni wychodził z domu niewracając, aż w wieczór. Wróciwszy raz z tej przechadzki, rzekł na osobności do Zabielskiego: „Biedny Polaku! tybyś sobie życzył dostać się do swoich. Otóż ja o tem myślałem, wiem gdzie Francuzi stoją, obszedłem wszystkie placówki, bądź gotowym dziś o północy; gdy zapukam w okno, wyjdiesz do mnie, a ja cię przeprowadzę i doprowadzę do Francuzów. Nie lękaj się zdrady, bo ja się boję Boga.” Powierzył się więc Zabielski poczciwości prostego wieśniaka i nie zawiódł się; z niebezpieczeństwem życia swego prowadził go tenże wśród ciemnej nocy między rozstawionemi na kamiennym gościńcu austriackimi czatami. Gdzie go szmer zdradzał i usłyszał hasła, ukrywał się, leżąc w rowie, aż nakoniec doprowadził go pod samą czatę francuską, uścisnął, pożegnał i sam wrócił. Długo byłoby opisywać wszystkie następne wydarzenia; wspomnę tylko, iż nieszczęśliwy gdy mniemał, że u kresu swych cierpień stanął, przyjęty jako zbieg i jeniec austriacki, zastał rozkaz Napoleona, wcielenia wszystkich jeńców austriackich, rodem Polaków, do legii polskiej, walczącej w Hiszpanii. Ani Francuzi, ani Polacy nie wyrozumieli nieszczęśliwego położenia Zabielskiego, ze zgwałconą wolą jego wpisali go w le-

gię i zaledwie dozwolili napisać list do żony. Odesłany więc został za Pireneje; tam przez lat trzy walcząc, kilkakrotnie brany w niewolę przez Hiszpanów, Anglików, i odbijany przez Francuzów, kilkakrotnie raniony i niezdolny do służby, w 1811 r. otrzymał uwolnienie, wrócił do kraju, połączył się z żoną i uzyskał od ludzkiego i wyrozumiałego ministra Łuszczewskiego urząd podprefekta w Końskich. Osnowa rzeczy godna pióra jakiego powieściopisarza; mógłby on więcej zajmujące i prawdziwsze wypadki obejmujące utworzyć dziełko, od tych, któremi nas tylu pisarzy dzisiaj zarzuca bez żadnej nauki i korzyści. Ja nigdy do tego rodzaju utworów nie miałem ani chęci, ani zdolności, ani w cudzych smakowałem, tem mniej w starych moich latach przy stygnących uczuciach, mógłbym uleść pokusie tak powszechnej teraz mozolenia się nad tem, czego bym dobrze zrobić nie potrafił. Wracam się do spraw galicyjskich.

Gdy się to działo pod Sandomierzem i Trześnią, Napoleon, naprawiwszy mosty na Dunaju, gotował bitwę. Arcyksiążę Ferdynand, odebrawszy od arcyksięcia Karola rozkaz porzucenia Galicyi i śpieszenia na pomoc głównej armii, cofał się. Wojsko polskie za nim postępowało, rosyjskie w wolnym poruszyło się pochodzie. Wkrótce książę Józef stanął pod Krakowem i wezwał dowódcę austriackiego do poddania miasta. Ten, nie mogąc się bronić, wszedł w układy z księciem, punkta kapitulacyi podpisanemi zostały; książę nazajutrz miał objąć miasto i przygotowania do wejścia poczynił. Tymczasem austriacki dowódca podczas trwających

układów wezwał Rosyan, aby marsz przyśpieszyli i uprzedzili Polaków, oświadczając, że ich chętniej do miasta wpuści. Jakoż generał Siewers, prowadzący przednią straż rosyjską pośpieszył w nocy, poprzedzającej wejście księcia Józefa i zajął Kraków, z którego Austriacy wyszli. Obruszony tym podstępem ksiązę Józef umyślił gwałtem wejść do miasta. Jakoż na czele całego korpusu, przy odgłosie bębnow i rozwiniętych chorągwiach zbliżył się do bramy. Stojące w niej grenadyery rosyjskie skrzyżowali broń; ksiązę sam własną ręką ich roztrącił i przy odgłosie muzyki marsza Dąbrowskiego, wśród szeregów rosyjskich wszedł przez ulicę na rynek. Tam zastał rozstawione szyki; zaczęły się więc spory i umowy z wojskiem rosyjskiem; i jedni i drudzy zajęli kwatery w mieście; mogłoby być przyjść do rozlewu krwi, lecz wygrana bitwa przez Napoleona pod Wagram zmieniła usposobienie Rosyan. Generał Siewers odwołany został, a na miejsce jego przysłany młody ksiązę Suworow, charakteru i sposobu życia zgodnego, z duchem Polaków, który umiał sobie zjednać w wojsku polskiem wziętość, a ich dowódcy przyjaźń. Łatwo się więc porozumiał z księciem i harmonia wzajemna przywróconą została. Skoro ksiązę Józef odebrał od cesarza Napoleona wiadomość o zawieszeniu broni i o rozpoczętych układach o pokój, wraz z rozkazem pozostania w Krakowie, natychmiast wezwał rząd centralny o wysłanie deputacyi do cesarza z prośbą o przyłączenie obu Galicyi do Księstwa Warszawskiego. Wybrani więc zostali do tego ważnego poselstwa, Ignacy Potocki eksmarszałek W.

Księstwa Litewskiego, mieszkający podówczas w Klimontowicach pod Kurowem. Ignacy Miączyński, jeden z najznakomitszych właścicieli w Galicyi, potomek imienia znanego w Polsce, a z rządności, rozsądku i charakteru posiadający powszechną wziętość i poważanie; Tadeusz Matuszewicz, wsławiony wymową, znaczeniem w sejmie konstytucyjnym, mąż wielkich talentów, rozumu, cnoty i miłości ojczyzny. Dałem krótką jego biografię w przypiskach do mego Ziemiaństwa. Miączyńskiemu wystarczy to, co wyżej o nim powiedziałem, gdyż mieszkając w czasie istnienia Polski, w Galicyi pod rządem austryackim, więcej był znany swojej prowincyi, niż krajowi. O Ignacym Potockim tylko wspomnę kto był, a lubo życie jego i zasługi są w Rocznikach Towarzystwa przyjaciół nauk wiernie skreślone, ręką rodzonego brata jego, Stanisława, obecne pokolenie tak mało lubi czytać dzieła przeszłości, tak jest obojętne na sławę ludzi, nie do jego pokolenia należących, że krótka wiadomość o nim może się przydać dla nauki następców, jeżeli ci wyzują się z wad ojcowskich, i mniej zarozumiali, mniej od ojców dumni sobą będą.

Dam więc obraz Potockiego pod godłem Tacytowskiem. *Sed incorruptam fidem professis, nec amore quisque, sine odio dicendus est.*

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

WYCIĄG Z KATALOGU „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ” (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1907.

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
465, 466, 469, 470. Jerzy Kennan. SYBERYA. Przełożył K. Ł. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.60	1.00
467, 468. PAMIĘTNIKI KASZTELANA NARCZYZA OLIZARA. Rok 1831.	80	50
471, 472. Faustyna Morzycka. Z DNIA WCZORAJSZEGO. Powieść	80	50
473, 474, 475. Paulina Wilkońska. MOJE WSPOMNIENIA o życiu towarzyskiem w Warszawie, z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.20	75
.674 Stanisław Kozłowski. POCHODNIA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem. Wysta-		

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
	wiona na scenie Warszawskiej w dniu 16 ym lutego 1907 r.	40	25
477, 478, 479.	Bonawentura z Kochanowa. WINCENCY WILCZEK I PIĘCIU JEGO SYNÓW. Wspomnienia z drugiej połowy osiemnastego i początku dziewiętnastego stulecia	1.20	75
480.	Marion. PAMIĘTNIK. (Strofy liryczne)	40	25
481.	Jerzy Grosjean (deputowany). SZKOŁA I OJCZYŻNA, przekład Maryi Wentzlowej	40	25
482, 483.	Zofia Casanova. (Lutosławska). DOKTÓR WOLSKI. (Kartki z życia Polaków i Rosyan). Przekład z hiszpańskiego H. J.	80	50
484.	Willa Zyndram-Kościałkowska. SZKICE LITERACKIE. I. Ignacy Chodźko	40	25
485, 486, 487.	Henry Murger. SCENY Z ŻYCIA CYGANERYI. Przekład z francuskiego Zofii Wróblewskiej	1.20	75
488.	Ludwik Włodek. NA PÓŁNOCY I NA POŁUDNIU. W krainie skār.—Pod niebem błękitnem. Wrażenia i szkice z podróży	40	25
489, 490.	E. L. Voynich. OLIVIA LATHAM. Powieść. Z upoważnienia autorki przetłomaczyła Marya Feldmanowa	80	50
491, 492, 496, 497.	PAMIĘTNIKI KAJETANA KOZMIANA, obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815	1.60	1.00
493, 494, 495.	Wiktor Gomulicki. CIURY. Powieść	1.20	75



10072/

7